

AL. BREGMAN

Historia pewnej książki

Od szeregu miesięcy toczy się w Ameryce niezwykła bitwa. Bitwa o książkę. Przewodząca jest zaciełka, fanatyczna walka z książką W. L. White'a, noszącą tytuł „Raport o Rosjanach”. Czynnione są wszelkie możliwe wysiłki, by książkę tę usunąć z półek księgarskich, by podważyć jej sławę i prestiż jej autora. Ale efekt tych wysiłków jest odwrotny od oczekiwanego. Im bardziej wojuje się z książką White'a, tym więcej egzemplarzy jej zostaje sprzedanych. Im bardziej chciałoby się słamsić tę prawdę o Rosji, tym głębiej przenika ona do świadomości społeczeństwa.

I jeśli pasjonująca jest sama książka White'a, to równie bodaj rewelacyjne są jej dzieje. Książka ukazuje, co się dzieje w Rosji. Natomiast przegody książki są przykładem metod propagandy prowadzonej na terenie Ameryki przez czynniki prosowieckie.

White jest dziennikarzem reprezentującym najlepsze tradycje dziennikarstwa amerykańskiego (które ma także swoje źródła w tradycjach... Jego ojciec był redaktorem pisma, ukazującego się w małym miasteczku Kansasu, o którym mało kto słyszał na świecie: Emporia. Redagował je tak wspaniale, pisał artykuły tak znakomicie, cieszył się takim zaufaniem swych czytelników, że sława jego pisma dotarła do wielkich miast. „Gazette” White'a stała się symbolem prawdziwego dziennikarstwa — rzetelnego, niechędnego sensacji, pełnego wiary w postępowanie prasy.

White junior odziedziczył po ojcu nie tylko gazetę, ale także i talent. Napisał kilka świetnych książek, przeważnie reportaży wojennych. Stał się znany.

Gdy w lecie 1944 roku prezes amerykańskiej Izby Handlowej Eryk Johnson udał się do Rosji, aby zorientować się w możliwościach handlu amerykańsko-sowieckiego, White wyprosił się na towarzyszącego podróż. Raz z Johnsonem objechał dużą część Sowietów. Był w Moskwie, Leningradzie, za Uralem. Rozmawiał z dziesiątkami ludzi. Zjadł tyle oficjalnych obiadów, że już patrzeć nie mógł na kawior i wódkę. Ale doceniając w pełni gościnność sowiecką, zachował niemniej oczy otwarte i widział wiele rzeczy poza tym, co chcieli mu pokazać przewodnicy z Inturista...

Po powrocie do Ameryki zabrał się do spisania tego, co widział i co słyszał w Sowietach. Zanim ujął w formę książki, napisał skrót dla słynnego miesięcznika „Reader's Digest” — pisma, które czyta każda inteligentna rodzina amerykańska i które ma największy nakład na świecie — ponad 8 milionów egzemplarzy.

Gdy tylko artykuły te ukazały się w druku, zaczęła się awantura. Osławiony

publicysta moskiewskiej „Prawdy”, który dzień w dzień odkrywa w świecie nowego „faszyzmu” i na zmianę atakuje rząd brytyjski, Papieża, „polską klikę reakcyjną”, czołowych polityków amerykańskich (Wendell Willkie, gdy go zaatakowała „Prawda”, powiedział: „Jestem przynajmniej w dobrym towarzystwie”) itd., nie ośmielił się oznajmić, że relacja White'a to „typowy produkt faszyzowskiej kuchni, który z daleka cuchnie oszczerstwem, niewybaczalną ignorancją i niezamaskowaną złośliwością”.

Ale to był dopiero początek. Artykuły zawierały wiele rewelacji, ale książka zawierała ich znacznie więcej. I dopiero książka ostatecznie wyprowadziła z równowagi aparat propagandy prosowieckiej.

Oczywiście w książce White'a jest wiele rzeczy, które mogły się nie podobać Moskwie i jej poplecikowi. Ale z pewnością jedną z rzeczy najbardziej dla nich nie do strawienia było szerokie omówienie sprawy Katynia i ogłoszenie nieznanych szczegółów na ten temat.

White omówił tragedię katyńską w rozdziale poświęconym cenzurze sowieckiej. Bardzo obszernie i z wielką troską o obywateliwom opowiadał najpierw dzieje całej sprawy, dobrze znanej nam, Polakom, ale na ogół nie znanej szerszej opinii, zwłaszcza że posługiwał się materiałami, które uprzednio nie były ani w Anglii, ani w Ameryce opublikowane. Co uczyniwszy, notuje informacje jakie uzyskał w Moskwie na temat ostatniej fazy sprawy, t.j. działalności sowieckiej komisji śledczej.

Opowiada on więc o podróży amerykańskich i brytyjskich korespondentów z Moskwy do Katynia i podaje szczegóły, które pozwalają lepiej zrozumieć doniesienia, które wówczas ukazały się w prasie Zachodu.

Jeden z korespondentów — pisze White — zauważył na którejś z ofiar katyńskich ciepłą bieliznę i zwrócił na to uwagę sowieckiego lekarza z komisji. Lekarz ten odpowiada, że przeważająca większość zabitych nosiła bądź ciepłą bieliznę bądź zimowe płaszcze, bądź jedno i drugie.

„To zdawało się potwierdzać teorię, że Polacy ci zostali zabici w kwietniu 1940, jak twierdził Niemcy, raczej niż w sierpniu i wrześniu 1941, po wejściu Niemców, jak twierdził rząd moskiewski.”

„Gdy sprawa ta została podniesiona w rozmowie z sowieckimi oficerami prowadzącymi korespondentów, nastąpiło poważne zamieszanie i w końcu Rosjanie wysunęli argument, że klimat w Polsce jest niepepny tak, iż we wrześniu można nosić futra i długie kalety...”

Przytoczywszy te fakty bez komentarzy White notuje, że korespondenci „woleli wierzyć w opowiadania swych sojuszników,

które wskazywały na winę Niemców”, ale mimo to cenzura rosyjska jeszcze usuwała wszelkie zastrzeżenia dziennikarzy amerykańskich i brytyjskich. Gdy jeden z nich napisał: „Nie jestem zdecydowaną medycyną, ale doktorzy mówią, że stan ciał świadczy, iż morderstwa dokonał Niemcy”, cenzura rosyjska wykresliła pierwszą połowę zdania, aż do słów „doktorzy mówią” — włącznie. Zostało więc stwierdzenie, tak jakby pochodziło od korespondenta.

W ogóle — informuje White — wykresłone zostały wszystkie wyrażenia dowodzące wątpliwości w umyślach korespondentów — wyrażenia takie, jak „moim zdaniem”, „prawdopodobnie” lub „dowody, które nam pokazano, wskazywałyby, że...” W rezultacie depesze otrzymane w Ameryce broniły równie kategorycznie tezy sowieckiej, jak artykuły „Prawdy”.

Ujawienie tych faktów przez White'a było oczywiście specjalnie dotkliwie dla propagandy sowieckiej. W ten sposób bowiem społeczeństwo amerykańskie dowiedziało się, że nie można wierzyć nawet swoim własnym korespondentom, którzy nie są w stanie pisać prawdy.

I prawdopodobnie to jedno wystarczyło, aby książka White'a rozwezwiała wszystkich tych, którzy nie chcą, by Ameryka i świat dowiedzieli się prawdy o Rosji. Ale w książce było wiele innych rzeczy, równie rewelacyjnych. Toteż zaczęła się nagonna na wielką skalę.

Przedzie wszystkim posypały się nieczytelne, pełne potępienia recenzje. Trzeba wiedzieć, że argumenty komunistyczne od dawna czyniły wielkie wysiłki, by opowiadać ważne stanowiska recenzentów książek. Udało im się to w takim stopniu, że książka głosząca prawdę o Sowietach nie może liczyć na życiwe omówienie, podczas gdy książka propagandowa choćby stanowiąca stek nonsensów, przyjęta będzie entuzjastycznie.

W rezultacie krytycznie oceniana książka nie tylko prasa komunistyczna i w ogóle prosowiecka, lecz również szereg pism umiarkowanych... Z tu niektórych ataków — pisat o tych recenzjach znany publicysta William Chamberlin, który wystąpił w obronie książki — możnaby wnioskować, że White pojechał do Rosji z czarnymi zamiarami w duszy, zdecydowany oczernić każdego obywatela sowieckiego i przy każdej sposobności rzucić oszczerstwa na system sowiecki. Przynajmniej zaś można było oczekiwać, że twierdzi on jakoby wszystkie kobiety były w Rosji naciągane, lub że Stalin codziennie żąda na śniadanie gotowane niemowlęta. A tymczasem o mnie najbardziej uderzyło przy czytaniu tej książki, to wielka

uczciwość autora w podchodzeniu do tematu.”

Stusznie bowiem stwierdza Chamberlin że White stara się wydobyc równie wszystkie dobre strony reżymu. Nie ma mowy w jego książce o jakichkolwiek uprzedzeniach czy jednostronności. Pokazuje on obie strony medalu. Ale tego właśnie nie chcą entuzjastki Sowietów. Pragną oni, by mówiono tylko o zjawiskach pozytywnych.

Recenzenci oczywiście nie przyznają się do tego. Nie wiedząc, jak zaatakować White'a, posuwają się do takich groteskowych chwytów, jak twierdzenie, że książka White'a pogrzeba los więźniów politycznych w Rosji i że utrudni pracę korespondentów zagranicznych w Moskwie.

CI korespondenci zresztą przytaczają się niebawem do nagonki na White'a. Może obawiali się gniewu cenzury, którego pociąganie w stosunku do nich, White ujawnił, a może mieli żal do autora „Raportu o Rosjanach”, że opowiadał różne historie, które sami mieli zamiar ogłosić po opuszczeniu Rosji, gdy już nie będą zależni od cenzury... Dość, że 16 korespondentów moskiewskich ogłosiło potępienie książki.

Protest ich został ogłoszony na pośrednictwem „narodowej rady przyjaciół amerykańsko-sowieckiej”, na której czekali stół, rekin kapitalizmu, dziedzic wielkiego rodu bankieraego Lamont — jeden z walecznych w Ameryce „salonowych komunistów”. Podpisali się pod nim wszyscy ci korespondenci, którzy godzą się na pisanie tak, jak sobie Moskwa życzy. Niektórzy nawet nie czytali książki, ale nie przeszkadzało im to protestować.

Ala i na tym jeszcze się nie skończyła akcja przeciw książce White'a.

Oto jakby na dany sygnał posypały się listy, dziesiątki i setki listów, do firmy wydawniczej, która wydała książkę, by wycofała ją z obiegu.

Firma Barcourt, Brace i Co nie uległa jednak tej presji. Dyrektor jej grzeźnie, ale stanowczo odpisał autorom protestacyjnych listów, że odmowa wydania książki, czy chęć wpływania na poglądy autora byłaby szczególnie groźną formą cenzury i że sugestia wycofania książki „godzi w serce jednej z podstawowych włości, o które walczymy”.

„Dziś nie ulega już wątpliwości, że wojna z Whitem została przegrana. Nie pomogły recenzje, nie działy niczego protestujących korespondentów, napróżno „publizność” gryzmoliła listy do wydawcy. Jedynym skutkiem tych wszystkich zabiegów było... zapewnienie książce reklamy.

Niemniej przeto rozmiary tej kampanii świadczy, jak dobrze zorganizowana jest ta prosowiecka mafia w St. Jędzi.

POLACY W NIEMCZECH

że ich zawiedziono i w każdym, nawet najniebezpieczniejszym zarządzeniu porządkowym dopatrują się nieczytelności.

Jak w porzeczalni dworcowej
Wielu sądzi, że głównie lub przynajmniej jedno z głównych źródeł zła — to niedostatek w żywności, brak odzieży i złe warunki mieszkaniowe.

Zupełnie — czynniki te odgrywały znaczną rolę, szczególnie ten ostatni. Prawda, że w obozach się nie przelewa, że panuje po prostu niedostatek. Prawda, że zniszczonej odzieży nie ma czym zastąpić. (Prawda wreszcie, że mieszkanka często (np. w obozach barakowych) przypomina raczej budy jarmarczne niż pomieszczenia dla cywilizowanych ludzi.

Ala najistotniejsze jest to, że w obozach panuje atmosfera poczekałki kolejowej. I to takiej poczekałki, w której czeka się na dłuższe oczekiwanie. Wtedy otworzyły się oczy na nikłeś środki materialnych, na braki żońne na krótką metę, ale nie do wytrzymania na dłuższy okres czasu.

Przy wypróbowanej już przedsiębiorczości Polaków udałooby się przebrnąć przez te przeszkody, gdyby utrzymały się przekonanie, iż nie ma innej drogi wyjścia. W tym jednak okresie zaczęły się obrady moskiewskie. Odcięci od prasy polskiej i pozbawieni wszelkiej łączności z ośrodkami politycznymi — wysiedleńcy nabrali przekonania, że każda droga powraca do kraju. I tak usiedli na kuterkach, czekając na rozwój wydarzeń.

Czego należy oczekiwać od władz alianckich?
Podstawowym błędem władz było że podzrywały i podziurawiały jeszcze atmosferę tymczasowości. Nie udzieleno Polakom dostatecznej pomocy w zorganizowaniu życia intelektualnego i społecznego, a nawet urzędowa prace przez cały szereg zakazów jak na przykład zakaz wysy-

nia na niby, ot tak w poczekałki kolejowej dla skrócenia czasu.

Przesilenie

Obraz tu namalowany może uchodzić za zbyt czarny. Dotyczy on bowiem tylko ostatnich tygodni. Przedtem było inaczej. Dziś jednak mamy do czynienia z niewątpliwym przesileniem.

Sformułować to można następująco: Po oswobowieniu przysza fala optymizmu i jak najlepszych nadziei. Potem nastąpiło rozczarowanie, które jednak wydałowało się w gorączkowym przeżywanym wolności i organizowaniu derywym nowych warunków przejściowej — jak wiercono — bytowania.

Po paru miesiącach ogół zorientował się, że powrót do kraju nie nastąpi przedko i że wobec tego należy przygotować się na dłuższe oczekiwanie. Wtedy otworzyły się oczy na nikłeś środki materialnych, na braki żońne na krótką metę, ale nie do wytrzymania na dłuższy okres czasu.

Przy wypróbowanej już przedsiębiorczości Polaków udałooby się przebrnąć przez te przeszkody, gdyby utrzymały się przekonanie, iż nie ma innej drogi wyjścia. W tym jednak okresie zaczęły się obrady moskiewskie. Odcięci od prasy polskiej i pozbawieni wszelkiej łączności z ośrodkami politycznymi — wysiedleńcy nabrali przekonania, że każda droga powraca do kraju. I tak usiedli na kuterkach, czekając na rozwój wydarzeń.

Czego należy oczekiwać od władz alianckich?

Podstawowym błędem władz było że podzrywały i podziurawiały jeszcze atmosferę tymczasowości. Nie udzieleno Polakom dostatecznej pomocy w zorganizowaniu życia intelektualnego i społecznego, a nawet urzędowa prace przez cały szereg zakazów jak na przykład zakaz wysy-

łania wysiedleńcom prasy i książek oraz zakaz twierdzenia własnych ośrodków pracujących. Ponadto za pomocą osławionych urzędowych oraz propagandy popierano nadzieje, które się nie ziszczają.

Dziś jest najwyższy czas, by się przygotować na dłuższy pobyt w Niemczech. Trzeba umożliwić zorganizowanie dobrowolnego życia społecznego, i istniejącym instytucjom dostarczyć środków potrzebnych do ich prowadzenia.

Trzeba umożliwić powstanie solidnej organizacji międzyobozowej, opartej na zasadach samrządu, organizacji wyposażonej w własną prasę, własne sądownictwo i szeroko rozbudowane szkolnictwo. A przede wszystkim trzeba Polakom w obozach umożliwić na szeroka skalę pracę zarobkową, a co za tym idzie poprawić materialne warunki bytu.

Im więcej będzie wśród wysiedleńców polskich szkół należycie wyposażonych, im więcej pism, książek i warsztatów pracy — tym mniej będzie aktów bezprawia, które wyróżły na podłożu apatycznego oczekiwaniami i rozczarowań.

Czas nagli

Naród polski! dat liczne dowody tego, że jest narodem twardym, odpornym na najcięższe warunki życia, pracowitym i dzielnym. Nawet w tak niepozywnych okolicznościach jak obecne społeczność polska w Niemczech zdążyła z pewnością egzaminować żywotność i przetrwania. Należy jednak jak najrychlej wyzwołać ją z chorobliwych i szkodliwych warunków, w jakie ją wpedzono. Nie można bezkarnie postępować z gromadą cywilizowanych ludzi tak, jak się postępuje z podżakusami lub z dziećmi.

Najwyższy czas, by władze okupacyjne — zamiast stawiać w bram obozów polskich posterunki i zamykać w ten sposób Polaków w ciasnej przestrzeni wraz z ich srodkiem i zaprzęciem — otworzyły im obrany na świat, co osobistej przynajmniej tymczasem wolności i pracy. **W O.**

Zamieszczony poniżej artykuł ukazał się w „Dekładzie”, tygodniku żołnierzy i Dywizji Pancernych. Oświadcza zaangażowanie Polaków w Niemczech z punktu widzenia najbardziej zainteresowanych. Redakcja otrzymała go z jednego z obozów polonijnych na granicy strefy amerykańskiej i angielskiej.

Władze okupacyjne zaczynają narzekać na zachowanie się wysiedleńców polskich w Niemczech. Coraz trudniej utrzymać dyscyplinę w obozach, coraz bardziej mnożą się akty gwałtu i bezprawia.

By temu zapobiec, zaostrza się przepisy porządkowe i zamyka się obozy. W rezultacie wśród stoczonych za drutami lub murami mas rośnie niezgody i duch przekory, tak znakomicie rozwinięty w okresie wojennym. Ludzie rozsądni i odpowiedzialni tracą wpływ na wzburzone otoczenie a zyskują go sprytni i przedsiębiorczy prowadzący wypraw „zarobkowych”, którzy zawsze umieją znaleźć dziurę w drutach lub płocie, by zdążyć wolności i przyszoł prowadzić na szeroki świat. I tak powstaje błędne koło.

Nie tędy droga

Tymczasem aż bije w oczy, że do kłopotu tego należy się zabrać od całkowicie innej strony: od strony przyczyn, które w interesie władz jak i Polaków muszą być jak najrychle usunięte.

W ośrodkach politycznych bowiem tkwiący w tych okolicznościach szczególnie drażliwy pierwiastek niesprawiedliwości, który musi wywoływać tylko wzburzenie i powiększać zakorzenione już dość głęboko poczucie krzywdy i poniżenia.

Zbyt długo wyobraźnia sponiewieranych przez Niemców wysiedleńców polskich, wspomagana zresztą ośrzedami i odczwami płynącymi z Zachodu, pracowała nad wytworzeniem pięknego obrazu przyszłości, by dzisiejszy stan rzeczy mógł być przyjęty jako niezawiniana przez nikogo konieczność.

Wysiedleni zdają sobie sprawę z tego,

ST. STA.

Jest miejsce tylko na jeden świat...

Londonyjskie narady pięciu ministrów spraw zagranicznych są jednym z etapów w formowaniu nowego porządku powojennego i traktatu pokoju. Formalne podpisanie ostatecznego układu, otwierającego nową epokę pokojową, nie nastąpi przedkońcem tego miesiąca, a być może nawet i lat. Na tej przelotności obrad wpływają dwa czynniki: rozbieżności poglądów wśród zwycięzców i metody pracy etapami, bez zwykłego równoczesnego wielkiego kongresu pokojowego.

Obecny traktat pokoju, w przeciwstawieniu do traktatu wersalskiego, przygotowany przez pięciu ludzi. Pracują oni w tej chwili w Londynie — obrady ich są otoczone tajemnicą. Wynikiem obecnej sesji będzie przygotowanie rozstrzygnięć tylko pewnego fragmentu zawiązków spraw europejskich, po czym ministrowie roządzą się do domów, by osiągnąć swoje przedstawicielstwom szefom, którzy — być może — zechcą je poddać publicznemu rozważaniu.

Prasa amerykańska chwali się że ta technika obrad konferencji pokojowej bez tempa zewnętrznej i w ściśle zamkniętym gronie jest pomysłem amerykańskim. Zapropowują ją w San Francisco pomocnik sekretarza stanu James C. Dunn, zajmujący od 15 lat kierownicze stanowisko w departamencie stanu. Projekt jego został przyjęty przez prez. Trumana — informuje „Time” — i sprzedany został w Poczdamie Stalinowi i Attlee. Gorąco podtrzymał go podsekretarz stanu James Francis Byrnes, który instynktownie poczuł, że będzie czuł się w tej atmosferze niemal tak, jak na konferencjach u siebie w kraju, gdzie kilku ludzi może spokojnie rozmawiać poza zamkniętymi drzwiami. Będzie to dokładnie dla niego to samo, co robił on przed 24 latami w garterbach i apartamentach konferencyjnych Kongresu (amerykańskiego).

Stoimy więc znowu wobec jednego z współczesnych paradoksów: kraj wyznający w polityce międzynarodowej zasadę „otwartych drzwi” postanowił szczególnie dla niego ważne „drzwi” pootwierać, czy też powyżać przy „zamkniętych drzwiach” obradującego na „raty” kongresu pokojowego. Ta metoda obrad, tak bardzo irytująca dziennikarzy i upokarzająca dla mniejszych państw sojuszników, nie różni się niczym od starych metod tajnej dyplomacji, chociaż „ródem jej tym razem jest przemysłowo-handlowe doświadczenie i praktyka amerykańska.

Obecny londonyjski etap kongresu pokojowego odbywa się w znacznie zmienionej atmosferze i w nieco innym układzie sił, aniżeli to miało miejsce na poprzednich konferencjach t. zw. wielkiej trójki. W Teheranie, w Jaltie i jeszcze częściowo w Poczdamie dominowała Rosja, szantażująca swoimi możliwościami wojskowymi w Europie i na Dalekim Wschodzie. Sprytnie skrzemując terminologią obrony demokracji i walki z faszyzmem Moskwa zmusiła swoich aliantów do wyrzeczenia się zasad Karty Atlantycznej i do podziału świata na dwie odrębne strefy wpływów, na stworzenie dwóch odrębnych światów.

Wykorzystując zwycięstwa wojenne i operując magicznymi frazesami „prawdziwa demokracja” i „patriotyzm”, Moskale spowodowali zamęt w politycznym myśleniu Europy i Stanów Zjednoczonych. Zanim poznano się na szachrajkiej magii tych słów, zanim z poza chwiłowej maski ujawniły się spowrotem prawdziwe oblicze czerwonego totalizmu — Moskwa zdołała wiele zagarnąć pod swoją władzę. Teheran, Jalta i Poczdam to słowa brzmiące zrytem ponurym dla każdego Europejczyka, to symbole politycznego upadku Europy, kurczenia się jej wpływów i zanikania jej centralnej pozycji w świecie.

Obrady londonyjskie są pierwszą wielką konferencją polityczną „epoki atomowej”. Ma to swoją wielką wymowę, nie mniejszą, jak na poprzednich konferencjach t. zw. wielkiej trójki miał wojenny szantaż Moskwy. Bomba atomowa, zwycięskie zakończenie wojny przez Stany Zjednoczone na Dalekim Wschodzie i przesunięcie ciężaru zagadnień międzynarodowych z dziedziny wojskowej w dziedzinę gospodarczą, stworzyły automatycznie nową hierarchię wśród państw: Stany Zjednoczone zajęły najeftniejszą i decydującą miejsce w tej hierarchii. Od tego, jaką politykę poprowadzi Waszyngton, zależać będzie w dużym stopniu przyszły rozwój sytuacji, dalsze losy Europy i całego globu ziemskiego. To też najbardziej natrętnym pytaniem bieżącej chwili jest, jaka będzie ta polityka amerykańska? Czy ona w ogóle istnieje i na jakich jest oparta zasadach?

Nad tymi pytaniami zastanawiali się i zastanawiają się sami Amerykanie, czego dowodem jest chociażby następujące zdanie, przytoczone z czasopisma amerykan-

skiego „Time”: „W okresie wojny polityka Stanów Zjednoczonych była często tajemnicza, oportunistyczna, chwilami nie było jej widać”.

A jak jest teraz? „Teraz — pisze „Time” — sytuacja stała się jasniejsza:

„W jej (polityki amerykańskiej) szerokich konturach uwypuklają się dwa zasadnicze punkty: 1) kierownictwo Stanów Zjednoczonych w światowej współpracy; 2) ochrona interesów Stanów Zjednoczonych, całkowicie szczerą i niejednokrotnie gwałtowną, tak jak n.p. miało to miejsce w wypadku wstrzymania „Lend and Lease”. Oto kilka szczegółów:

„Oprócz baz Stany Zjednoczone nie mają terytorialnych pretensji poza swoimi granicami. Żądają one jednak prawa wolnego handlu i chcą widzieć wszystkie narody posiadające reprezentatywne rządy demokratyczne.

„Stany Zjednoczone nie mają i nie pragną mieć sporów z Rosją. Stany Zjednoczone jednak będą wymagać od Związku Sowieckiego wypełnienia jego do Hitlera wszystkich międzynarodowych umów — tak samo jak będą tego wymagać od siebie samych i wszystkich innych narodów.

„Stany Zjednoczone będą robić wszystko co może — jednak na podstawie ściśle określonej, i nie w formie niewypelnionej oczek — a żeby pomóc swoim aliantom wojennym w odbudowie tych życia ekonomicznego.

„Stany Zjednoczone są zdecydowane razem z Rosją i Wielką Brytanią ukarać i kontrolować Niemcy i Japonię dopóty, dopóki minie niebezpieczeństwo wywołania przez te kraje nowej wojny.

„Stany Zjednoczone są tak samo jak i Związek Sowiecki zdecydowane zabierać głos w rozstrzygnięciu wszystkich międzynarodowych problemów.

„Niektóre zasady tej polityki — pisze dalej „Time” — zostały sformułowane i postanowione na długo zanim Harry Truman i Jimmy Byrnes objęli swoje urzędy. Franklin D. Roosevelt miał udział w zapoczątkowaniu formułowania tych zasad; tak samo Cardell Hull i Edward Stettinius. Obecnie nastąpiła całkowita zmiana polityki Stanów Zjednoczonych w porównaniu do ich polityki przy końcu pierwszej wojny światowej. Harry Truman i Jimmy Byrnes rozumieją, tak samo jak większość Stanów Zjednoczonych, że w wieku bomby atomowej jest miejsce tylko na jeden świat lub w ogóle na żaden”.

Ostatnie zdanie z powyższego cytatu nie jest już dzisiaj tylko ineresującym zwrotem publicystycznym. Istotnie większość opinii Stanów Zjednoczonych zdaje sobie sprawę z koniecznością zlikwidowania rozwoju świata na dwa ideologiczne i siłą rzeczy — niezależne od tego, czy brzmienie tych słów jest dla kogoś nieprzyjemne — wroble obozy. Niejednokrotnie w ostatnich tygodniach cytowałyśmy na łamach „Orła Białego” artykuły prasy amerykańskiej, świadczące o zrozumieniu istoty obecnego rozbitcia świata i dowodzącej, że na drodze do likwidacji tego rozbitcia „problem numer 1” jest Rosja bolszewicka. Zasada „jednego świata” nie da się pogodzić z polityką stref wpływów i z totalistyczną zaborczością, przekreślającą całkowicie niepodległość i suwerenność poszczególnych państw. Przewidywanie rosyjskiego parcia, zdaniem n. p. czasopisma „Life”, jest dlatego tak ważne, że Rosja jest dzisiaj tym „jedynym państwem na świecie, którego dynamiczna potęga rzuca wyzwanie naszym pojęciom prawdy, sprawiedliwości i dobrobytu”.

Ważnym etapem w przewidywaniu rosyjskiego dynamizmu jest wyraźne ustalenie terminologii politycznej i unemożliwienie w ten sposób dalszego wykorzystywania przez Moskwę pojęć i nazw demokratycznych dla pokrywania jej praktyk totalistycznych. Coprawda opamiętanie się co do istoty tego szachrajstwa frazesowego przyszło dopiero po wielkich stratach. Pierzo rosyjska okupacja środkowej Europy, głównie zaś sprawa polska, wykazały światu, że w ustach Stalina i Mototowa słowa „niepodległość”, „suwerenność” i „demokracja” mają wręcz odwrotny sens od pojmowania tych pojęć przez dyplomatów W. Brytani i St. Zjednoczonych.

Okres między konferencją poczdamską a obecną londonyjską można nazwać okresem demaskowania moskiewskiej frazeologii pseudodemokratycznej i pierwszej próbą pokojowego wydarcia Rosji tych jej zdobyczy w Środkowej Europie i na Bałkanach, któ-

re ona osiągnęła w okresie wiary w jej dobrą wolę i w jej demokratyczność.

Truman i Attlee w sposób jasny i zdecydowany kilkakrotnie już dali wyraz swojemu osobistemu i swoich krajów pojmowaniu słowa „demokracja”, akcja zaś amerykańsko-brytyjska w sprawie demokratyzacji systemów politycznych w krajach okupowanych przez Rosję jest objawem decyzji Waszyngtonu i Londynu wcielania w życie ustalonych już i zdefiniowanych zasad dyplomacji tych państw.

Innym przejawem, wskazującym na coraz większe uświadomienie sobie przez opinię zachodnioeuropejską, czym jest w swej istocie sowiecki system polityczny i społeczny, jest wystąpienie na Kongresie Amerykańskiej Federacji Pracy (American Federation of Labour) George Meany, który w gwałtowny sposób zaatakował cały sowiecki system. „Amerykańska Federacja Pracy” — przypomina przy tej sposobności korespondent Reutersa — stale unikała współpracy z jakkolwiek organizacją międzynarodową, w której uczestniczą przedstawiciele rosyjskich związków zawodowych. Nie wzięła ona również udział w niedawnej światowej konferencji związków zawodowych, na której rosyjscy delegaci usiłowali chwycić inicjatywę w swoje ręce. Federacja zwalcza również inne ugrupowanie amerykańskich związków zawodowych (American Congress of Industrial Worker — skrót C.I.O.), która to organizacja, pozostając pod wpływami komunistycznymi, „robiła co mogła, by sparaliżować walkę przeciwko Hitlerowi na początku wojny”, w okresie rosyjsko-niemieckiej współpracy, później zaś gdy Hitler zaatakował Rosję, stała się w Ameryce ośrodkiem rosyjskiej propagandy za utworzeniem drugiego frontu.

Na londonyjskim Kongresie, w swoim powitalnym przemówieniu Meany oświadczył, że jego organizacja nie weźmie udziału w światowym kongresie związków zawodowych w Paryżu, ponieważ uczestniczą w nim przedstawiciele „pseudo związków zawodowych” rosyjskich i amerykańskiej organizacji C.I.O. „My nie uznajemy rosyjskiej organizacji robotniczych za związki zawodowe — powiedział Meany. Rosyjskie organizacje robotnicze są w rzeczywistości narzędziami państwa. Są one oficjalnymi odgałęzieniami rządu i jego po dyktatorsku rządzącej partii. Zdanieniem tych związków jest obrona interesów państwa sowieckiego nawet wtedy, gdy to jest połączone z krzywdą dla interesów robotników. Rosyjskie związki zawodowe popierają aktywnie bolszewicki system pracy, i czarne listy deportacji do obozów pracy, co w rezultacie oznacza niewolnictwo milionów chłopów, robotników i innych pracowników zawodowych, którzy uwięzieni są w obozach pracy bez możliwości obrony przed eksploatacją i przymusową pracą. Dla nas udział w organizacji światowej, która będzie usiłowała narzucić dyktat naszym rządowi w jego polityce zagranicznej jest nie do pomysłenia.

Krytyka sowieckiego systemu przez Meany’go wywołała krzyki i protesty niektórych delegatów, jednak on kontynuował swoją mowę bez przerwy. Gdy skończył, gorące oklaski zebranych były dowodem, że większość myśli i czuje tak samo jak i on.

To wystąpienie przedstawiciela olbrzymiej większości robotników amerykańskich jest obok książki Bluma i jego akcji politycznej we Francji, obok przemówień Trumana, Attlee i Bevina, jeszcze jednym dowodem, że przewidywanie dynamizmu czerwonego totalizmu nie odbywa się jedynie na płaszczyźnie dyplomatycznej. Proces ten polegać będzie w rozmaitych kierunkach, a ataki „Czerwonej Gwiazdy” i „Izwestii” na ministrów angielskich i przywódców socjalizmu francuskiego są dowodem, że akcja ta uderzyła w właściwy ton.

Londonyjskie obrady są również dowodem, że w Europie zachodniej postępuje regeneracja polityczna, która w konsekwencji swej może wzmocnić pozycję brytyjską w układzie wielkiej trójki. Jeśli zbliżenie francusko-angielskie stanie się faktem dokonanym, będzie to pierwszym znakiem, że Europa chce z przedmiotu polityki światowej stać się spowrotem ośrodkiem dyskusyjnym.

Przeciwstawiając się usiłowaniu Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii przełamania rosyjskiej zaborczości i ekskluzywności na Bałkanach i w Środkowej Europie Rosja po większą część akcji przez wysunięcie w Londynie daleko idących żądań w stosunku do Włoch i ich kol-

onii i domaga się udziału w kontroli niemal całego Morza Śródziemnego. Rosja poza chęcią zrealizowania swoich planów wyściga na otwarte morze, stwarza oczywiście w ten sposób dla siebie i pozycje przetargowe, aby potem przez ustępstwa z tak maksymalnego programu zatrzymać w rezerwach to, co już jest przez nią zagrabione. Upór rosyjski szczególnie mocno przejawia się w sprawie polskiej.

W Londynie w czasie omawiania traktatu włoskiego wysunęto propozycję zaproszenia wszystkich państw, które uczestniczyły w wojnie na terenie Włoch. Polska została zaproszona na naleganie Mototowa razem z Białorusią i Ukrainą sowiecką. Ten fakt dał „Dziennikowi Polskiemu” w Londynie powód do napisania następujących uwag:

„Na konferencji pięciu ministrów spraw zagranicznych w Londynie przy omawianiu sprawy traktatu pokojowego z Włochami zdecydowano zaprosić Jugosławię, Włochy, Australię, Kanadę, Indie, Nową Zelandię i Południową Afrykę do wyznaczenia przedstawicieli i posiedzenie pięciu ministrów w dniu 17 września w celu wypowiedzenia poglądów na temat granicy jugosłowiańsko-włoskiej. Ustalono też, że wszystkie zjednoczone narody będące w wojnie z Włochami będą mogły przedłożyć poglądy na piśmie na temat pokoju z Włochami. Prasa brytyjska podkreśla, że zaproszenie dominów nastąpiło na tej podstawie, iż włoska dominacja brała czynny udział w kampanii włoskiej. Na tej zasadzie — pisze „Dziennik Polski” — Polska ma wszelkie podstawy do udziału w dyskusjach na temat Włoch. Władz Polski do wojny w Basenie Śródziemnomorskim jest szczególnie wielki. Jeżeli Polska nie znalazła się wspólnie z dominami wśród zaproszonych to wynika z tego, że — zdaniem konferencji ministrów — niemą ciągłości prawnej pomiędzy Polską, którą żołnierze walczyli pod Monte Cassino, a Polską Osóbki-Morawską. Ten punkt widzenia znalazł wyraz w dalszych decyzjach konferencji. Oto skutkiem nalegania Mototowa rada zgodziła się dodać Polskę, Ukrainę i Białorusi do krajów zaproszonych do przedłożenia poglądów na traktat pokojowy z Włochami”.

„Dziennik Polski” uważa, iż fakt ten jest dowodem nieuznania obecnego rządu warszawskiego za związane wypowiedzeniem wojny z Włochami przez rząd polski w Londynie. „Naleganie Mototowa, by Polska zaliczona została do osobnej kategorii razem z sowiecką Ukrainą i Białorusią ma głęboką wymowę”.

Na czym polega „głęboka wymowa” powyższego faktu wyjaśnia „Sunday Times” stwierdzając, że „zaproszenie Polski, Ukrainy i Białorusi odzwierciedla stanowisko Sowietów wobec Imperium Brytyjskiego i zdecydowaną wolę Moskwy zapewnienia sobie traktowania państw pozostających w orbicie sowieckich wpływów z analogicznym traktowaniem dominów brytyjskich przez Londyn”.

W ten sposób zostało demaskowane jeszcze jedno fałszerstwo na temat rzekomej niezależności państwowej Polski Bieruta od Moskwy. — I to jest także bardzo ważne i cenne osiągnięcie, toczących się w Londynie rozmów.

Jeśli zapowiedzi amerykańskie o konieczności budowy jednego świata i o obowiązku wypełniania co do litery wszystkich zobowiązań międzynarodowych przez zwycięską narodę, mają stać się rzeczywistością, to w pierwszym rzędzie sprawa niepodległości Polski musi stać się celem wszystkich akcji dyplomatycznych, zmierzających do realizacji tych hasł. Dopiero bowiem przywrócenie pełnej suwerenności i niepodległości Państwa Polskiego, będzie dowodem, że przewidywanie dynamizmu rosyjskiego osiągnęło swój cel.

Ofiary

Zięba Jan C.M.F. 365 wpłacił 200 hrów na dzieci polskie w Niemczech.

Odpowiedzi Redakcji

Przeprski Józef C.M.F. 432. List Dr. Wojciecha Jedliny — Jacobsona został przez nas przedrukowany z „Dziennika Polskiego” London W.C. 2 Kings Chambers, 29. Portugal Street, dokąd prosimy zwrócić się bezpośrednio.

K. WOSKI

Atak moskiewski na życie religijne w Polsce

Dopese z przed kilku dni przyniosły wiadomość o nowej akcji moskiewskiej w Polsce, skierowanej tym razem przeciwko oszczędzanej jeszcze dziedzinie życia religijnego — mianowicie „Rada Ministrów”, podobno piętastoma głosami na cztery, postanowiła „wypowiedzieć” konkordat, który był podstawą stosunków między Polską a Stolicą Apostolską.

Po wejściu armii sowieckiej do Polski i rozpoczęciu w niej urzędowania przez NKWD stało się jasne, że bolszewicy odzwyczajają na dalszy plan likwidację życia religijnego w Polsce. Trzeba zresztą stwierdzić, że Moskwa zastosowała różne metody postępowania na wschód i na zachód od linii Ribbentrop-Mołotow, zwanej niesłusznie linią Curzuna. Na terenie Polski wschodniej rozpoczęło się systematyczne prześladowanie obrządków katolickich, które trwa nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

Jak zwykle w podobnych warunkach, ile razy cież Moskwy padał na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, unia stawiała się pierwszą ofiarą prześladowań; wszystkie diecezje kościoła grecko-katolickiego zostały zlikwidowane, biskupi wraz z sufraganami usunięci i wywiezieni. Biskup Słipy, następca metropolity Szeptyckiego, został wywieziony i zmarł w roku ubiegłym; biskup Chomyszyn zmarł podobno w czasie transportu do Rosji. Jedyna, która się uratowała, to diecezja przemyska, niewielki skrawek unii postawiony jeszcze formalnie przy Polsce. I tutaj znowu, jak już niejednokrotnie w historii, jedynie oparcie o Polskę pozwala unii na czasowe przynajmniej przetrwanie; miejsce zniszczonego kościoła grecko-katolickiego zajęło moskiewskie prawosławie, oficjalnie tolerowane a nawet popierane. Cerkwie św. Jura we Lwowie zajęli prawosławni popi ze stalinowskiej edycji.

Jak unia tak i kościół rzymsko-katolicki jest w pospieszonym tempie likwidowany na kresach wschodnich. Duchowieństwo katolickie wywieziono o ile nie zostało „zlikwidowane” przy zajmowaniu przez bolszewików tej części kraju. Czcigodny arcybiskup Jąbrzykowski z Wilna podzielił los swych wiernych. Nie wiadomo co się stało z arcybiskupem lwowskim Twardowskim.

Na terenie Polski środkowej i zachodniej sytuacja jest narazie odmienna. Ponieważ pierwszym celem polityki rosyjskiej wobec Polski jest w tej chwili zlikwidowanie za wszelką cenę ośrodków polskiej myśli narodowej, na obczyźnie, dlatego do czasu stosuje się w kraju politykę niedoświadczenia śrubby przez NKWD, aby tym łatwiej zwabić do powrotów słabych i naiwnych. Stąd od początku pojednawcze ale z moskiewską grubo szyte gesty pod adresem kościoła katolickiego; a więc tolerowanie przejawów życia religijnego, co na te tpego prześladowania niemieckiego miało być jednym z bardziej skutecznych sposobów dla pozyskania sympatii dla nowego reżimu; szeroko rozrękanowane utworzenie Uniwersytetu katolickiego w Lublinie, — ale z rektorem bezbożnikiem i bez wydziału teologicznego; pozwolenie arcybiskupowi Sapiesze na wydawanie w Krakowie „Tygodnika Powszechnego”, jedyne w Polsce czasopisma formalnie rzekomo niezależnego od NKWD — i wreszcie najgrubszy z chwytów — wyłączenie z demagogicznej i dzikiej „reformy” rolnej wszelkich dóbr kościelnych. W dziedzinie stanu cywilnego uznaje się w dalszym ciągu religijną formę zawierania małżeństwa, ale mamy podstawę, aby twierdzić, że wprowadzono fakultatywnie i śluby cywilne.

Dodajmy, że tolerowany jeszcze w Polsce kościół katolicki jest tak samo odcięty od Watykanu jak cała Polska i wszystko co znalazło się w rękach moskiewskich jest i musi być odcięte od świata. O korespondencji biskupów z Watykanem mowy nie ma. Izolacja jest kompletna. Czasami przypadkowo skąpe wiadomości przeciekają drogą pośrednią przez Londyn.

W nakreślonej powyżej sytuacji, „wypowiedzenie” konkordatu przez grupę odkomenderowanych do rządzenia Polską agentów jest akcją zarówno pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia prawnego jak i politycznie niezgrabną.

Wyraz „wypowiedzenie” ujmujemy w cudzysłowie, bowiem czynnik rządzący faktycznie w Polsce nie mają żadnego tytułu do wypowiedziania umów zawartych przez legalny rząd Rzeczypospolitej. Jak widzieliśmy życie religijne w Kraju został przez Swoicy uregulowane jednostronnie, prawem silniejszego, niezależnie lub wbrew

konkordatowi. Watykan nie uznaje „rządu” w Warszawie, nie utrzymuje z nim stosunków dyplomatycznych, dlatego też w świetle zwyczajów międzynarodowych świata cywilizowanego szumne „wypowiedzenie” konkordatu jest nonsensem. Można chyba mówić o zerwaniu konkordatu przez grupę, która do czasu terroryzuje naród.

Jeżeli chodzi o polityczną stronę zagadnienia to posiadamy informacje, że pociągnięcie Osóbki i jego kolegów zrobiło w

Stwierdziwszy, że konkordat z Polską jak zresztą wszystkie inne konkordaty nie zawiera żadnej klauzuli ograniczającej swobodę Watykanu w mianowaniu administratorów apostołskich (jak wiadomo mianowanie administratorów apostołskich przez Prymasa Polski dla terenów pomiędzy Odrą i Nisą, a granicą polsko-niemiecką 1939 stało się jednym z protestów do „wypowiedzenia” konkordatu przez Warszawę), dziennik przypomina zapew-

lityki watykańskiej w Niemczech, Austrii, na Węgrzech i w Polsce. Zapytaliśmy wówczas na łamach naszego dziennika, czy przypadkiem nie chodzi tu o zamiar uniemożliwienia wszelkich kontaktów między Kościołem a wiernymi we wschodniej Europie. Byłoby to kontynuowanie na skalę nieporównanie szerszą próby zapoczątkowanej przez Hitlera „narodowy socjalizm”.

„Stanowisko jakie prowizoryczny rząd polski „jedności narodowej” uważał za możliwe zajęć bez żadnych poprzednich konsultacji, nie oddała bynajmniej naszych obaw, ale my nie zapomniamy — tak, jak zapomnia się o tym w Warszawie — że w duszy Narodu Polskiego żyje wiekowa tradycja wierności dla Kościoła Chrystusowego — wierności, której nie nie zdoła ugiąć ani zwęzi ani podstęp i zaciądkę”.

Korespondent dyplomatyczny agencji Reutersa tak ujął reakcję kół watykańskich na wiadomość o kroku „rządu” warszawskiego:

„Rzecznik Watykanu „oświadczył” wczoraj, że wiadomość o wypowiedzeniu przez rząd warszawski konkordatu z Watykanem wywołała w sferach watykańskich znaczne zdziwienie. Stolica Apostolska — powiedział rzecznik — dowiedziała się o decyzji polskiej tylko z prasy i przez radio. Co się tyczy oskarżeń, według których Watykan dopuścił się miał jakiegoś pogwałcenia konkordatu przez nominację administratorów apostołskich w Polsce, rzecznik oświadczył, administracja apostołska diecezji polskiej w Chełmie (pomorskim przyp. red. O. B.) powierzona została pewnemu biskupowi niemieckiemu, ściślej mówiąc, biskupowi gdańskiemu, ponieważ biskup polski i większość kleru polskiego tej diecezji zostali deportowani. Rzecznik zaznaczył, że żaden warunek konkordatu nie ogranicza nigdy prawa Watykanu do mianowania administratorów apostołskich, przytoczając jako przykład nominację administratorów diecezji włoskich w czasie okupacji niemieckiej”.

Główny organ włoskiej partii chrześcijańsko-demokratycznej rzymski dziennik „Il Popolo” zamieszcza szczegółowy komunikat o „zerwaniu” konkordatu przez Warszawę pod wymownym tytułem: „Kłamstwem Warszawy o konkordacie ze Stolicą Apostolską potwierdzone oficjalnie”. W komunikacie ogłoszony jest tekst rezolucji warszawskiej „rady ministrów”, z którego wynika, że — zdaniem Warszawy — Stolica Apostolska naruszyła paragraf 9 konkordatu („żadna diecezja polska nie może podlegać jurysdykcji biskupa, którego siedziba leży poza granicami Polski”), przez powierzenie podczas okupacji niemieckiej administracji diecezji chełmińskiej biskupowi gdańskiemu. W komentarzu redakcyjnym „Il Popolo” pisze

„Ten kłamliwy komunikat oficjalny i arbitralny inicjatywie prowizorycznego rządu warszawskiego nie dorzuca nowych szczegółów do elementów znanych już z poprzednich audycji radiowych Londynu i Lozanny. Natomiast potwierdza on, że rząd prowizoryczny motywując swoją decyzję nie podaje racji istotnych ale gromadzi stek kłamstw. Kłamstw, które już zdementowaliśmy w numerze sobotnim, komentując wiadomość o wypowiedzeniu konkordatu”.

Stręczywszy następnie poszczególne fazy działalności Ojca Świętego i Stolicy Apostolskiej w sprawie Polski, Kościoła Katolickiego w Polsce i wreszcie samych Polaków w czasie całej wojny, dziennik kończy swój artykuł w ten sposób:

„Obecnie rząd prowizoryczny składa dowód swej „wiedzności” dla Stolicy Apostolskiej przez wypowiedzenie konkordatu. Minimum tego, co o tej sprawie można by powiedzieć jest to, że nadużycie to jest dowodem, że rząd prowizoryczny nie przemawia w imieniu Polski, lecz dopuszcza się zdrady i jej wierności i wiedzności dla Głowy Kościoła”.

W ostatnim numerze włoskiej edycji amerykańskiego tygodnika „Time” ukazała się zmiana informująca w sposób tendencyjny i niecisły o przebiegu audycji w Watykanie jaka miała miejsce 2 września br. W związku z powyższym pragniemy zaznaczyć, że audycja ta miała charakter szczególnie uroczysty i serdeczny i że organ watykański „Osservatore Romano” w sprawozdaniu z tej audycji podkreślił szczerstwo w niej dra Kazimierza Papee, jako ambasadora R. P. przy Stolicy Apostolskiej.



Uroczystość wręczenia sztandaru

Watykanie jaknajgorzej wrócić a wystarczy czytać reakcję włoskiej prasy katolickiej, aby przekonać się, że tak jak w tyłu innych sprawach ten krok dzierżycieli Warszawy był bezmyślny i grubo.

Zbliżył do Watykanu katolicki „Il Quotidiano” komentarze w ten sposób decyzję warszawską:

„Przed wszystkim osobliwy jest sam fakt wypowiedzenia konkordatu w sposób tak raptowny jeszcze przed zakonnicowaniem ewentualnych skarg i uzasadnionych powodów niezadowolenia czytelników, które miałyby prawo być o tym powiadomione. Z drugiej strony zarzut „ogwałcenia” konkordatu przez Stolicę Apostolską pozbawiony jest wszelkich podstaw”.

nienia rządu warszawskiego, że „polski rząd jednoci narodowej zamierza uszanować wolność kościoła w Polsce”. W związku z tym dziennik rzymski zapytuje:

„Czyż można mówić o swobodach katolickich jeżeli nie uznaje się nominacji o charakterze wybitnie religijnym? Gdy nie pozwala się katolikom polskim porozumiewać się swobodnie z najwładniejszymi władzami kościoła? Stanowisko rządu warszawskiego jest niepokojące; jest niepokojące tym bardziej, gdy wzięte jest pod uwagę szerokie wpływy elementów komunistycznych. W lutym bieżącego roku dziennik sowiecki „Czerwona Gwiazda” pisał, że konieczne jest przeciwstawienie się interwencjom po-

STATUT POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W WIELKIEJ BRYTANII

Wobec rozsiwanych przez wroga w Anglii zapowiadana kilkakrotnie „misja „The Times”) — w brzmieniu oryginalnym brytyjskiego Ministerstwa Wojny w tej sprawie:

British War Office states that reports that the military mission about to arrive from Warsaw is to assume the command of the Polish Forces in Great Britain are not correct. It is authoritatively stated that the position of the Polish Forces in the United Kingdom is that they are under command of the British War Office which has delegated its powers to the C-in-C Scottish Command. No alterations in these arrangements is contemplated at present.

czynnik pogłosk o roli jaką ma odegrać wojskowa” z Warszawy, podajemy (za i w tłumaczeniu — tekst oświadczenia brytyjskiego Ministerstwa Wojny w tej sprawie:

Brytyjskie Ministerstwo Wojny podaje do wiadomości, że informacje jakoby misja wojskowa, której przyjazd z Warszawy jest zapowiadany, ma przejąć dowództwo nad Polskimi Siłami Zbrojnymi w Wielkiej Brytanii, nie są prawdziwe. Urzędowo stwierdza się, że Polskie Siły Zbrojne w Zjednoczonym Królestwie znajdują się pod dowództwem Brytyjskiego Ministerstwa Wojny, które przekazało swe uprawnienia Naczelnemu Dowódcy Okręgu Szkockiego. Żadna zmiana tego stanu rzeczy nie jest obecnie przewidywana.

BARBARA TOPORSKA

Ucieczka

chylenia w lewo, ze standartowym, oficjalnym uśmiechem „radosnej, swobodnej ziemi”?

Nie, nie, nie!

Tymczasem pocisk jakiejś dalekonośnej artylerii wpadł na podwórek i trzasnął w przeciwległą ścianę, a odpowiedziała mu nie tylko szybka okienna, ale i szkło w starej szafie.

Nie, nie, nie!

Nie! drugi raz odnowa. Nie witać ich i nie chować się od nich. Nie słyszeć, nie czytać ich. Nie stać w koleje.

O ludziach, którzy powtarzają ciągle te same dowcipy, używają tych samych zwrotów, zawsze w określonych okolicznościach, zachowują się z uporem maniackiej monotonii — mówimy, że są nudni. Bywają także indywidua, na które gdy się patrzy, to wydaje się, że już o kwadrans naprzód wiadomo, co taki ma do powiedzenia. By-

daje mi się jednak, że Szolochow, jeżeli napisał swój piękny „Tichij Don” w sposób, w jaki mogłby napisać każdy niesowietki autor o tej klasy talencie, i okupił fakt ten tylko niedużą stosunkowo wstawką gloryfikującą Stalina — to miał po prostu człowiek szczęście. Okoliczność tak niezmiernie rzadka w sowieckim regimie. Już się tam do niego zresztą próbowano dobrać za zakończenie i „bielogwardyjskość” poity powieściowej. Upiekło się jemu. Ale to jest Szolochow, jedyny. Nawet w „Piotrze” Tolstojego spotrzegano postacie byłego sekretarza generalnego partii i towarzysza jego Kaganowicza.

Zerwijmy kartkę ze sztandarowego kalendarza świątecznego. Na odwrocie nie przeczytaliśmy przepisu na obiady, które się w Świątecznych Jada na sposób w Europie nie znany. Będzie to natomiast:

„Czterdziesta rocznica strajku zakaukask-

cić z niej machorkową cygaretkę, ale, na miły Bóg, nie można jej czytać. Jest to jakaś monotonia czkawki.

Bolszewicy tego nie rozumieją. Sędzia śledczy NKWD mający przed sobą kogóż z byłych ludzi pióra, przede wszystkim oskarża go o wieloletnie szkalowanie w druku Związku Sowieckiego. Oskarża zupełnie szczerze. On jest na prawdę przekonany, że dziennikarz „burżuazyjny” nie mógł nie innego robić tylko pisać przeciw komunizmowi i ZSRR z uporem maniaki i opajanej katarynki, tak jak to piszą w Sowietach przeciw ustrojowi kapitalistycznemu. Nie może zrozumieć, że w naszej prasie pisano o ludziach i zdarzeniach, a nie tylko o różnicy ustroju kapitalistycznego od komunistycznego.

— Ja w ogóle nie piszę o Sowietach... — Da broś... nu, už wy tam... znamem was tid.

Wiele rzeczy ponurych i wstrząsających przeżywały ludzie w Sowietach. I ich obcy koncentracynie nie są lepsze od niemieckich, a NKWD i NKGB nie wiele laskawsze od Gestapo i SS. — Ale można je zawsze gdzieś, do czegoś porównać, chociażby do siebie wzajem, do czegoś co kiedyś już było, jak na przykład publiczne roboty za czasów Faraonów, być może nie były łatwiejsze od sowieckich. — Jedynie tylko sowiecki dzień powszedni nie da się porównać z niczym, co było przedtem pod jakimkolwiek regimem świata.

I nagle widok tych bezwartościowych gratów, cuchnących kurzem i naftaliną, tych reprodukcji w czarnych ramach, wyblakłego gobelenu fabrycznego, krzesel z fin de sieclu, skrzypiące podłogi i brzęczące szkieł szafy, — włosy się jeżą na głowie. Nie dlatego, że bitwa się zbliża i drugi pokoleń uderzył w sąsiednią kamienicę, a dlatego, że wyświechtane meble z minionego wieku średniej klasy burżuazyjnej, robią się tak bliźniaczo podobne do tych ostatnich rupieczi czających się po kątach wielkiej dawnej Rosji, gdzie dziś nie produkuje się nowych mebli, tylko odwała stare komunały komunistyczne. Węc skrzypią i czają się te rupieczi po kątach znacionalizowanych domów, uszcześliwione „żil pochodzi”, a za starymi, szafami śpią całe rodziny i po podłodze maszerują, maszerują lokatorzy do kuchni i kłozetu i naftowego primusa.

Znamy to zaszczytne marzenie: żyć — dożyć cicho za szafą i nie być wywiezionym do Kofkasu, do Archangielska, do tundry, tajgi czy stepu Kazałstanu. Uśmiechać się w pochodzie i potakiwać w rozmowie, oglądać portrety genialnych wodzów, stać przed kooperatywą w kolejce i zawrzeć z góry wiedzieć, co będzie jutro w gazecie, jaki będzie wynik głosowania, jaka zapadnie uchwała i jakiej treści będzie rezolucja. Można! być rzecz, że cały Związek Sowiecki składa się z jasnowidzących, z nieomylną dokładnością przewidujących przyszłość bliższą i daleką. Jednymyślnie.

— Brrr! Uciekamy! Prawda, Feluś?

Feluś to taki jamnik, który przyszedł z nami na smyczy do Włoch.

Nowe książki

Za siedmioma rzekami — była Bolonia — Marek Święcicki — Rzym 1945 — cena za egz. 50 lirów.

Bija w tarabany — Michał Pawlikowski — cena za egz. 40 lirów.

Duma o heimatnie — Stefan Zeromski — Cena za egz. 50 lirów.

Srogi pies i sentymentalny zając — Jan Wiktor — Cena za egz. 50 lirów.

Polska w kulturze powszechniej — Szczęś rozpraw — Rzym 1945 — cena za egz. 50 lirów.

Henryk Dąbrowski — M. Grzdziński — Cena za egz. 50 lirów.

Wyraźny chodnik — Gustaw Morcinek — Włochy 1945 — cena za egz. 100 lirów.

Wrażenia więzienne — Gustaw Daniłowski — Rzym 1945 — cena za egz. 40 lirów.

Kraj bez Quislinga — Stefan Tadeusz Norwid — Rzym 1945 cena za egz. 100 lirów.

Walka o niepodległość w Kraju — na obczyźnie — W. Kurnarski — cena za egz. 10 lirów.

Smuga cienia — Joseph Conrad — cena za egz. 70 lirów.

Od Ostrej Bramy do Osmej Armii — Tadeusz Zajczkowski — cena za egz. 60 lirów.

Polska a „kapitalistyczna interwencja” w stosunku do ZSRR 1918 — 1920 — Bernard Andreus — cena za egz. 40 lirów.

Polski doświadczenia powstańcze — Zagonyczek — cena za egz. 20 lirów.

Ludzie sponiewierani — Hermutina Naglerowa — cena za egz. 60 lirów.

Smoczek 13 — Stefania Zahorska — cena za egz. 50 lirów.



Polscy w Szkoci

wają książki, których zakończenie jest znane, w których rozwiązanie wzięła dramatycznego nie przedstawia najmniejszego zainteresowania. I takie odkłada się, ziewając. Istnieje totalistyczna literatura i publicystyka, z której wystarczy przeczytać dwa—trzy egzemplarze i — dość. Dość, b inaczej nudzą. Istnieje zawsze propagandą, zwłaszcza podczas wojny, której jednostronność bywa również nudząca. Z góry już wiadomo, kto kogo zwycięży, a w felietonie, powiastce, opisie bitwy, nie trzeba celować inwencją, żeby się domyśleć, kto tu będzie przedstawiany za bohatera, a kto za podstępnego, złośliwego, lub nawet tchórzliwego jegomościa.

Bezkompromisowość propagandy bywa jednak celowa, rozumna i konsekwentna w pewnych okresach zrywu i wysiłku narodowego. Ale na okres całego życia, na okres od państwowego przedszkola, aż do śmierci w łazie, jest więcej niż nudząca, więcej niż niedemokratyczna. Jest przeziębienie, potwornie — nuda.

Nie chcę tu wdępywać w krytykę sowieckiej literatury, bo to dziedziną programowa, a wobec ilości pretendentów do jej znajomości rozstanych po całej Europie, trzeba się rozprawić z tysiącami słuszych i niesłuszych argumentów. — Wy-

kiej drogi żelaznej w Tyflisie, pod kierunkiem towarzysza Stalina. — Dwidziesta rocznica przyjęcia przez międzynarodowy kongres uchwały marynarzy o nieprawdowemu materiałowi wojennych przeciwko Związkowi Sowieckiemu. — Czwartą rocznicą przemówienia towarzysza Stalina na przyjęciu bohaterów Związku Sowieckiego. — Trzydziasta siódma rocznica mowy Lenina na II zjeździe RSDRP w obronie formuły pierwszego paragrafu...

Nuda, nuda. Koszmarna nuda, niczym niezastąpiona, niczym niełagodzona, niczym nieurozmaicona. Dzień po dniu jest taki, jakby padał drobny, nieustanny deszczyk, które nasze jesienie znają pod nazwą „kapuśniaczka”.

Bolszewizm to żadna czarna chmura, rozdzielana czerwienią błyskawic i gromem piorunów, w której jedni chcą widzieć zapowiadany tym jaśniejszym jutra, a inni grom zniszczenia. Bolszewizm to bezkresna, beznadziejna szaruga, od horyzontu do horyzontu, to bezapelacyjna jednostajność płaczącego nieba, to pewność, że jutro też nie zaświetli słońce i wszyscy tak samo chadzać będą ze spuszczonejmi głowami.

Można kupić sowiecką gazetę, rzucić na nią okiem, beznadziejnie nią pokręcić i skre-

ARTUR MIĘDZYRZECKI

KRAJOBRAZ

W tym nastroju szumi chiną
Kiedy za szyb polskiemu sięczy się światło
Na forte klawiszowe pianina —
Te klawiszowe są martwe — klawiszowe staniąd.

A za szybami gęsta krata
I dalej już zieleń zgaszona zachodim:
Cyprys — chudy smukły mahatma;
Więć to klawiszowe jaką grają melodi?

To nie był cementarz — dlatego
Nie było wieńców i marmuru nagrobków
Tylko błękit rozmościł miękko
Szczątki głogów, które krwawiły na stoiku.

Za rzeką suchą zamuloną,
Za skarpami, na których kwitną białki,
Głębi krzak czerwono zapłonął
I opadł na dionie gorącym popiołem.

Więć południe było żalobne
Przepełnione światłem i zielenią
Zieleń układała się w stopnie,
Stopnie schodziły w dół aż znikły pod ziemią.

Była to szafa stara, ale nie staroświecka. I nagle dużo takich mebli, których zbudowanie sięga zeszłego stulecia, ale są bezwartościowe. Szafa była duża, oszklona do szkła dzwoniło, gdy ludzie przechodzili przez pokój, bo pokój był przechodni. Wszystko w nim było takie, jak ta szafa. Stare i nie nie warte. Obrazy przedstawiały najtańszą reprodukcję Grotgera. Zegar secesyjny, wielki, okrągły, wiedeńskiej firmy sprzed lat osiemdziesięciu. Sofka kryta gąsienicą po raz ostatni przed laty trzydziestu. Jakieś pamiętniki z Rzymu, licha mandeta z roku 1874. Nic, co by można sprzedać; zamienić na drogie żarcie roku 1944. — We wszystkich pokojach gnieździły się ludzie. W dwóch pierwszych rodzina wysiedlona z Poznania. W lewym od następnych drzwi, staruszek żyjący z zapomnianego magistratu. W prawym zaś stała ta brzęcząca szafa, ale nie pod ścianą, tylko w pośrodku pokoju, tworząc rodzaj przepierzenia, za którym znajdowało się łóżko. Jedne okno w rogu wychodziło na podwórce czynszowej kamienicy. Kuchnia zawieszona była najczęściej bielizną, praną wciąż na nowo przez któregoś z lokatorów. Ażeby skończyć z tym absolutnie nieinteresującym czytelnika rozkładem mieszkania, dodać by wypadają, że ustep miesiąc się na klatce kuchennych schodów i wisiął w nim na ścianie wyarty, fabryczny gobelin, przedstawiający kasyno gry w Monte Carlo. — Myliłby się jednak, śto był sądził, że podnosił przez to urok mieszkanca, które nazwałby mczna raczej punyrim. — Lokatorzy nie należeli też do wesołych. O godzinie osmej przepisy cku-pacyjne zabraniały wychodzić z domu. Światła należało oszczędzać. Można było natomiast leżeć na łóżku za szafą i marzyć. Od czasu do czasu po ścianie przesuwała się pluskwa i znikła w cieniach skąpego światła nocnej lampki.

Tej nocy lał obfity, gęsty deszcz, padał z zacięciem po szybach długi i z widoczną decyzją przemoczenia świata. Zrzadka dawały się słyszeć z ulicy kroki patrolu niemieckiego. Zaś z rynku, na którym rozbiła namioty wędrowna menażeria, dochodził w odmierzonych odstępach ryk lwa.

I nagle, z wnętrza zaciemnionego przepisowo okna, bardzo zrazu dalekie, a później coraz wyraźniejsze, przychodzi bulgocanie motorów. Musiały iść wysoko. Bardzo wysoko. Alarmu nie ogłaszano. Przeszły, nie zrzucając bomb.

Zdarza się, że pewien kompleks dźwięków, nie mających ze sobą żadnego istotnego związku, zaważa na losach. Dopóki potada się wolną wolę, należy ją wyzyskać wszelkimi najintrańniej, w tym kierunku na przykład, ażeby raz wreszcie przestała mierzić ta szafa, to spanie za nią w kącie. Ryk lwa naprowadzał na Afrykę, he! Bulgot motorów rozbudzał tęsknotę do przetrzeni. Założone pod głową ręce zaczynały drzeć.

Jednakże cisza na froncie w przeciągu następnych kilku tygodni działała usypiająco. Z tygodnia zrobiły się miesiące. Szafa stała na swoim miejscu i pobrzkiwała, i odwrócił ktoś siedzi przez pokój. Jej niebełowane i niemalowane drewno tylnej sciany, odwróconej do łóżka, służąc mogło do odstukiwania zamierzonych planów: — Tfu, tfu! byle nie stanęto na przeszkodzie!

I nagle pękł front. Było to zimą roku 1945-go.

Ludzie zaczęli gęściej krążyć, częściej zabiegać do sąsiadów, szeptać i poszeptować, żywiej gestykulować. — Od setek okoliczności zależały ich decyzje i rozważania: dyblmatu: emigrować czy pozostać? Przychodzili bolszewicy. Jedni ich znali, większość — nie. Większość też rozkładała ręce: „Gdzie ja pójdę? Gdzie ja zostawię, tu to wszystko...”

Od starej szafy i bezwartościowych gratów, od pluskiew na ścianie i cianego skupiska lokatorów szła nuda. — Od wschodu, poprzez Wisłę, w lukę rozerwaną pod Baranowem, na Łódź, na Kraków, Często-chowę, wlewała się armia sowiecka, „nie-bobiedimaja, krasnaja”, wiedziona przez „genialnego wodza”, „ojca”, „swobodziela”. Każde słowo, każdy przecinek w zdaniu, każdy artykuł, który miał przyjsć, wezwanie, „kozung”, wiec, „in-ving”, plakat, przemówienie, rezolucja... wszystko wiadome, wyrachowane, ustalone kolijnością w potysiąckroć razy powtórzo-rym szablonie.

Różne można mieć zdanie o systemie pa-rującym w Sowietach, o jego politycznym i gospodarczym aspekcie, totalizmie i tej-cho, „chniej” wolności. Ale czy ludzie, którzy wystają dziś w Europie przed w-tyrnymi i gablotkami sowieckiej propagan-dy, zdają sobie w ogóle sprawę, co to za rzecz jest — sowiecka nuda? Straszna, bez-odczujna nuda? Nuda dnia powszedniego, który rozciągnąć się ma na całe życie?

Prawdopodobnie sprawy sobie nie zdają. Ale kto był, kto wdział, kto przeżył raz i miałby jeszcze raz? Od początku? Od pierwszego do następnych dni, które powo-łają się po generalnej linii partii Lenina-Stalina, bez odchylenia w prawo, bez od-

„Prosimy ciebie przez tę garstkę kości zapal przynajmniej na śmierć naszą słotę”.

Słowacki.

Ile wierszy, których się każdy Polak uczył w szkole i właściwie ich już nie słyszał! Czy mu się oświadczy, że jak wiesz w Słowackim „Nabardziej znano wiersze Słowackiego w latach katekizmu i ostatecznych prób znowu biskupią i pałac; widzieliśmy jak dymiały w nich ukryty, do jakiego stopnia są one wyrazem psychiki polskiej.

Chciałem niedawno paru Franzuzom opowiedzieć o krótkich oporach Warszawy, o typie Polaka, który ten klimat moralny wytworzył, szukałom drogi którą by mogli odczuć postawę Polaków i dlaczego właśnie Warszawa walczyła do ostatka. Wspomniałem o naszej poezji romantycznej całkowicie za granicami Polski szerszemu ogółowi nieznaną i na kolanie przetłumaczyłem im na francuski „Testament” Słowackiego i jeszcze paru innych Słowackiego wierszy. Nawet cudzoziemców czujnych te wiersze niezdarnie tłumaczone przeszływały. W ich świecie powstanie warszawskie, walka Polaków przeciwko obu najdziwniejszym sławom się czymś więcej niż jednym z licznych zdarzeń polityki i wojny. A „Testament” na ile Warszawy urastał do prologu.

„A kiedy trzeba niech na śmierć idą po kole”...

Jeszcze w czołgu Gruzowieckim wypisłem sobie do małego kącika z różowej bibuлки wiersze „które docierały do mnie z Polski, lub takie, które niektórzy koledzy podsyłali mi w pamięci. Był jeden wiersz Słowackiego zapisany przez wielu, ponagłał nam on życie i wiersze.

„A kiedy prawdziwi Polacy powstaną To zbierać składkę nie będą narody. A osłupięca...”

Niektóre opowieści z Polski wydają się przedłużeniem w życiu poezji Słowackiego. Ten sam klimat, te same akcenty i już nie wiadomo czy Słowacki był proroczą transpozycją tych zdarzeń czy też te zdarzenia właśnie wyplwały bezpośrednio z pewnej atmosfery psychicznej, którą w dużym stopniu stworzyła poezja Słowackiego, jego najbardziej popularne, jego najbardziej „osłuchane” wiersze. Ks. Kantak w pięknej przedmowie do wyboru poezji Słowackiego *) żali się na to, że znany zaledwie cząstkę dzieła tego „ducha pierwowiedzącego w przyszłość” jedynie garstkę jego wierszy, ale czy może być bardziej wspaniałym pomnik wystawiony przez naród swojemu wieszczowi, jak te tysiące „kamieni przez Boga rzuconych na szaniec”, jak ta świadomość narodu po stu latach, że Słowacki był naprawdę „stermikiem duchami napełnionej tożsą”, i że sto lat temu wciąż jeszcze nas gniecie jego „słota fatalna”.

Płyną ludzie z Polski i każdy dzień przynosi nowe wieści o walce i o śmierci z lat ubiegłych, czasami drobny szczegół, który więcej mówi, bo więcej ewokuje, czasem groźną cyfrę. Chciałoby się te wszystkie strzępki opowiadać zebrać, żeby żaden drobny rys nie zginął, żeby te bezcenne znaki życia i znaki śmierci naszych bliźnich w Polsce, przynajmniej do nas jak najszerszej dotarły, i żebyśmy je mogli w sercu zachować jak skarby.

W szóstym dniu powstania w Warszawie poległa Krystyna Wańkowiczówna. Znalam ją jeszcze małątką i pamiętam jeszcze twarzączkę śpiącego dziecka na posudze w wózeczku, pod wiszącą lampą o wielkim matowym kloszu w małym mieszkaniu warszawskim Wańkowiczów. Rodzina dziewczynki była okryta wtedy ciężką żałobą, bo obaj bracia jej matki Stanisław Małagowski, dowódca pociągu pancernego „Smiały”, pociągu który się wstawił podczas obrony Lwowa i brat jego Kazimierz, członek tejże załogi, zdołny architekt i malarz, zginęli prawie jednocześnie w walkach w okolicach Borysowa w 1919 roku. Zdołni, weseli, przystojni, nadzwyczaj ideowi i odważni, namiętni patrioci, mieli oni rzadki mir wśród kolegów i zdołali na „Smiałym” zgromować dość wyjątkowy zespół młodzieży akademickiej.

Ze śmiercią obu braci kotczy się świetny okres pociągu pancernego „Smiały”, w tamtej wojnie.

Krysi ojciec chrzestny Lechnicki wyszedł wówczas cało z walk legionowych i z wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r., ale we wrześniu 1939 r. raniony w płuco podczas walk pod Siedlcami, przewieziony do szpitala, usadziły w fotelu przy oknie, zmarł nagle, patrząc na wstępujące do miasta oddziały niemieckie. Przyjaciele Krysi: dwóch parobków a syn Lechnickiego giną parę lat później, dwaj w obozach niemieckich, trzeci po przedarciu się z kraju przez Bałkany ginie śmiercią lotnika nad zatoką biskajską.

„Utwory pomniejsze w wyborze” — Juliusz Słowacki. Opracował Kd. Kamil Kantak, Mm. WR i OP, Jerozolimna 1944. Nakład Sekcji Wydawniczej A.P.W.

JOZEF CZAPSKI

„Kiedy prawdziwi P

Krysią, podczas okupacji niemieckiej, pracowała w redakcji tajnego pisma (miała ponoć duży talent literacki). Jak tylko wybuchło powstanie poszła na ochotniczą do szturmówki. Po trzech dniach walk puszczono ją z paru kolegami odpocząć do matki na Złobowca. Matka ją nakarmiła. Krysią się przepasała, była w promiennym humorze. Szóstego dnia powstania poeisk armatni wybił dziurę w ścianie domu, gdzie mieściła się szturmówka. Trzeba było zmienić miejsce. Szli dwójkami, Krysią szła w pierwszej, dwójce i śpiewała. Poeciś przebił jej krtań i zabił na miejscu. Podbiegła sanitariuszka. Ale Krysią już nie żyła. Sanitariuszka zdjęła zegarek z jej ręki i wycięła dówody. Tylko dowódca znał nazwisko Krysi. Powiedziała „Pamiętajcie, że to zginęła córka Melchiora Wańkowicza”.

kolegów i wyniosłem jeszcze kult Wyspiańskiego, Brzozowskiego, świat z przed 1914 roku był mi poprzez nich bliższy. Ale jakże dalecy od tego świata byli Władek i jego najbliżsi koleździ. To zwycięska wojna 1920 roku, niepodległość Polski, tylko co zdobyta, która dla nich już była nie marzeniem i celem, ale faktem niewątpliwym i punktem wyjścia — potęgowały nastroj optymizmu zwyciężonych tych chłopców, dawały start, jaki miało niewiele polskich pokoleń. Konspiracje, kazamaty, cehronki, to była już dla nich tylko historia, i to historia tak często powtarzana przez starszych, że aż nudna. Walczyli oni z epizmatami Wyspiańskiego i Żeromskiego, czytali Stendhala, Apollinara, zachwycali się Cezannem i Picassem. Hadaś: życie, kult życia był u nich więcej niż wyrazem miłości, był ich zasadą. Jakże byli

dzielił ich z pokoleniem ówczesnym przepaść, nie do przyczerzenia; na słonecznej plaży wspaniałe taniec świat wydawał mi się olawiany, piewniczy. Wierzyłem, że nie wrócimy do tamtej atmosfery już nigdy. Jak niewiele lat przeszło i sama historia ją wprowadziła Zakrzewskiemu, w dawny aut! Polska, znowu w podziemiu, w konspiracji i w starcie polskie bohaterstwo.

Zbiższy do kapistów Zakrzewski, po Krakowie, pracował dłuższy czas w Pałacu i tam wstawił. Potem zerwał prawie z malarstwem, wszedł w grafikę. Jego kolorowe akwaforty zyskiwały nagrodę Akademii Umiejętności, jego tki „Kraków”, „Słask” i inne miały powodzenie w Polsce i za granicą, przede wszystkim w Anglii.

Kiedy wspominał twarz Władka Zakrzewskiego, to bardzo niebieskie oczy, jasne — blond czupryna, właściwie zimny, spityczny wyraz czoła i trochę gorzki uśmiech ust na prawie chłopczej twarzy, zdaje mi się, że w tym jak wyglądał w obliczu ostatecznego niebezpieczeństwa, miał pewno ten sam uśmiech i ten sam spójny wyraz do końca swojej pasji rytmu, niebezpieczeństwa, tę pasję, którą dawniej wyrażał w sportach i w rekreacyjnych wyścigach.

Wspomniałem o Tytusie Czyżewskim. Nie wiem, czy był w jakikolwiek sposób związany z walką konspiracyjną w kraju.

WACŁAW RADULSKI

O REPERTUARZE TEATRU

Repertuar teatru określa jego pozycję w społeczeństwie. Sposób realizacji przedstawień określa stosunek teatru do Szuki. Trzecim kryterium, miarodajnym dla rozważań o wartości poszczególnych teatrów, jest ich powodzenie. Szekspir musiał walczyć do wspaniałych tragedii sceny białeńskiej, gdyż obok „Glohu” istniał cyrk i publiczność niezadowolona z „filozofii” uciekała na walkę niedawiedzi. Aby ratować swój teatr, Moliere po „Mizantropie” pisze farsy i sielanki. Teatr Polski w Warszawie, miejski w Krakowie i inne, między działami Słowackiego a Wyspiańskiego, wystawiają komedie muzyczne w tym samym merkantylnym celu. Walki, toczące się o poziom sztuki teatralnej, są nieraz tak dramatyczne, że mogą stanowić materiał dla wcale interesującej komedii.

Nie jest przedstawienie teatralne ani repoksem, ani plötmem malarskim, ani partyturą, które można odjąć, aż „dojrzeją” do uznania i popularności. Przedstawienie, bezpośrednio po jego realizacji, sądzi licznym, a przypadkowo zebrany zespół przystępych, którym pocięcie, że zapłacili za Elicę, nadaje przesadną pewność w ocenie artystycznego artykułu. Zbirowość jest niezwykłe podatna na wulgarną, zyski finansowe, tege aksjomatu czepność zyski finansowej i moralne rozmarcie „businesmanów”, uważający, że branża artystyczna równie dobrze nadaje się do zarobków, jak i czarna giełda. Presja na sztukę teatralną jest tym łatwiejsza, że aparat teatru jest kszycynowy, a rezultaty kasowe stanowią o „być lub nie być” danego teatru w sensie jego repertuaru, sposobów realizacji, poziomu i t. d.

Za wypadkową osiągnięć teatru składa się jego wyznacznik wiary artystycznej, gustu zbiorowości zapewniającej jego widownię, stan gospodarczy danego kraju, że wymienimy tylko czynniki najważniejsze. Z nadejściem kina, teatr przestał być jedyną instytucją, która dla powszechności XIX w. była przede wszystkim rozrywką. Dodajmy do tego łatwość uruchomienia kina w najgłuszejsze osadzie i oto wytworzył się nowy, nieznan dotąd w historii sztuki podział społeczeństwa. Kino stało się sztuką dla mas, teatr pozostał instytucją elitarną. Ale nie tylko przyczyną natury technicznej wytworzył ten podział. O ile tu, w klasycy brali pod uwagę widownię rozróżnioną, od zwykłego współpółstwa aż po osobę ukoronowaną — dramatyczny na sztuką współczesna jest obłożona na miasto i jego inteligencję. Istnieją teatry „ludowe” i „popularne”, ale liczące ich jest niska, brak im repertuaru współczesnego w sensie i na poziomie Szekspira, Moliere’a, Lope de Vega, a tylko inteligencja potrąfiła oglądać wyżej wymienionych, bez trudu pokonując balast historyczny. Z punktu widzenia samej sztuki teatru, teatry „popularne” upraszczają scenę widowiską, która w ciągu ostatniego półwiecza stała się niezwykle skomplikowana.

Powyżej szkicowo rzuczone rozważania tytoczą się również repertuaru Teatru Dra-



Tytus Czyżewski — Martyna natura

W pierwszym dniu powstania, w pierwszych atakach na Niemców zginął Roman Wańkowicz, jej brat stryjeczny, który połem siostra Renka. W końcu powstania zabity przez Niemców został ojciec Romana, a stryj Krysi.

Taki jest fragment historii rodziny, jednej rodziny polskiej na przestrzeni czterech wieków. Ile jest dzisiaj w Polsce rodzin, których historia jest do tej historii podobna?

Zginął w Krakowie Władysław Zakrzewski, zdołny malarz i grafik. Pracował wspólnie z Władkiem w latach 1921-1924 w Krakowie w pracowni profesora Pankiewicza, potem w Paryżu. Należał do tego pokolenia, które zaledwie zaczęło się o tamtą wojnę światową. Zupelnie młody brał udział w kampanii 1920 roku, w 215 pułku ułanów, a teraz żył w Krakowie, w konspiracji. Syn profesora prehistorii i numizmatyki z Poznania, Zygmunt Zakrzewski, miał brata, którego Niemcy porwali do Oświęcimia i Dachau, dotychczas się nie odnalazł. Drugi jego brat dowodził pułkiem ułanów karpackich. Znowu kś jednej polskiej rodziny.

W latach 1921-1923 był dla mnie Władek Zakrzewski uosobieniem nowego pokolenia polskiego. Byłem starszy trochę od moich

niechętni temu wszystkiemu co nazywali cierniactwem, Wyspiański — to było dla nich „40 stopni gorączki”. Żeromski — był „historyczny i barokowy”. Jedynie Brzozowski budził zainteresowanie niekórych.

Władek był poza malarstwem, mistrzem boku wady piórkowej, w latach 1921-1923, zdobywał nagrody na konkursach pływackich. Jakże daleko odeszło to pokolenie od malarzowskich i w długich nocy, w nocy, o długich włosach. Pamiętam jak się godzinami wylegiwali na plaży nad Wisłą zamiast malować. („Nie rozumiem, co on robi” mawiał o jednym z nich Pankiewicz — „nie pracuje, a ciągle robi postępy”).

Patrzyłem na te młodzież o parę lat tylko młodsza, jakby przedzieleny od nich niewidzialną ścianą. Był to czas, kiedy Tytus Czyżewski razem z Młodzieżem i Brunonem Jasimskim szeryli formizm, a Wierzyński w Warszawie wydawał swój tomik bezstriski „Wróble na dachu”.

Kiedy patrzyłem na Zakrzewskiego i jego kolegów na plaży na Zwierzyniecu p d Krakowem w gorącą letnią pogodę przychodził mi na myśl Wyspiański, jego powolna śmierć w tymż Zakrzewski, Brzozowski i ponury Brzozowski proces, klimat tamtej epoki, naprawdę zdawał mi się, że

TADEUSZ SUŁKOWSKI

SZCZĘŚCIE

Trudno śpiewać, gdy zaciśnięte wargi, poezjo, przyjacielu smutny. Zalu jak ptaki wysokiego narwiu i pod tymi wierszami go ukryj.

To jest dno, ten żal i ta czułość, która boli razem z sercem po nocach. A na wierzchu — jakby się nie popsuło, jakby nora śpiewał spokój i Mozart.

Pałę papierosa jak gwiazdę młodą i wiem po co jestem i co zrobię, ty już nie za wodą, ja już nie za wodą i możemy, szczęście, ręce podać sobie.

— Dla kogo ta nieprawda, poezjo? Potem gorzej: bo to ani ręce, ani Mozart.
— Twoje szczęście, poeto, że mozesz wiersz o szczęściu pisać po nocach.

Tego woiam, czego więcej nie spotkam i tyle mam, ilem nie dostał. Pomieszkać chociaż w tych zwrotkach, przepiękoczko, co uciekał do prosa.

Polacy powstaną...

On także umarł. O Tytusie Czyżewskim muszę napisać jego koleżdy szerzej i dokładniej. Od 1920 roku wdziedzieliśmy w naszej grupie malarskiej kim jest Tytus Czyżewski. Ten wicki malarz wieczny cygan był wśród artystów, najbardziej drażniącym bezmyślnie nawyki patrzenia. Stało w walce ze wszystkim i w nieustannej nędzy. Tyłk, garbika poetów i malarzy młodszych od niego umiała go nie tylko docenić, ale i kochać, tego małego, garbatego człowieka, w wyszarzanym ubranku, o asymetrycznej, bardzo kościstej, drapieżnej i niezwykłej ciekawej twarzy, z czołem delikatnie porżytym w niezliczone ukosne brzozy, idące od nosydo włosów aż do brwi. Widoczne były wszystkie, gdy się marszczył, czy śmiał i nadawały dziwne tragiczny wyraz jego twarzy. Był z przechodnia goralem i miał goralską zaciętość i upór. Nigdy na żaden kompromis malarski nie pozwolił, choć nieraz był zmuszony prawie zebrać, za jaką lekceważącą nudą, nieraz irytacją p-magał niejednemu Tytusowi który był zawsze bez grosza i przeżywał state finansowe „katastrofy”. Tytus widział i czuł wszystkie, reagował boleśnie na to drobne i ciche p-nieźnia, po każdym wyzbranyim gr-szu jakże się mścił pozornie najgrzeźniej — przed wszystkim pogadując biskiem c-czu, a dymy wszystkich swoich sztuką zawsze buntowniczą, niezależną i drażniącą. Ten autor niezapomnianych pastorałk, pierwszych polskich plócien abstrakcyjnych i plócien

malarskich, pejzaży i portretów, autor szeregu zbiorów poezji, nowel i artykułów krytycznych, ten wieczny nędrzarzera, to jeździł do Włoch, do Hiszpanii, a przede wszystkim do Paryża, skąd zawsze na nowo trzeba było go ratować, bo ścigany za długi nie spałcone, deptany po piętach przez dłużników, nie miał za co wracać. Tytus Czyżewski był długi czas w Polsce wcale nie uznawany. Jeszcze w 1931 roku musieliśmy walczyć z gwałtownym oporem, by zgodzono się zrobić mu wystawę w Warszawskim IPSie, który przecie istniał dla nowej sztuki. Koło 1935 roku życie Tytusa stało się trochę łatwiejsze. Jego dawny kolega Stanisław Piasecki, zastrzelony przez Niemców, wciągnął go do „Prosto z mestu” i gorąco popiera, narasta między pokolemi malarzy, im. in. grupa „Przymat”, którzy w Tytusie widzą swego mistrza. Tytus wykorzystuje to „k-munkture”, by malować i malować.

„Oni się ciągle kłocą, oni ciągle gadają” — skarżył mi się jeszcze w 1939 roku w milczarni na Placu Półudskiego na kolegów malarzy. „Ale oni za mało malują. Malarza musi ciągnąć do farb, jak do wdki, jak kokainistę do kokainy!”.

Miał malutką pracownię na Mazowieckiej, zawalony ramami, obrazami, książkami, dziwacznymi pamiątkami. We wszystkim co robił, jak żył i co mówił — był jedynym stylem Tytusa. Podczas wojny nie opuszczał Warszawy. Pracownia jego nie została zniszczona we wrześniu. W nędzy, która nie była dla niego nowością, bezustannie malował, pisał, mił jeszcze do obrotu, aż się rozkładził jak nudę.

Podczas powstania warszawskiego spalił się cały jego dorobek warszawski. Tytus Czyżewski rozpoznał, wyczerpany do ostatka, ostatnimi siłami dobrnął do Krakowa i tam umarł.

Deszły do nas szczegóły o śmierci Anieli Zagórskiej, tłumaczki prawie wszystkich dzieł Conrada.

W środowiskach literackich Warszawy, które nie znał Anieli? Ta kuzynka Conrada była najbardziej fanatyczną propagatorką jego dzieł. To cna, jako młoda dziewczyna urządziła spotkanie Żeromskiego z Conradem w Zakopanem. To ona wówczas wylała Conradowi na wieczór Prusa do czytania, tłumaczył się Conrad za czytował i był wówczas Conrad powiedział o Prusie „To lepsze niż Dickens”. Conrad oddał w ręce Anieli wszystkie prawa na



Najmłodszy żołnierz Warszawy

tłumaczenia polskie swych dzieł. Młodzianka wówczas Aniela spytała go, czy jest pewny, że nie robi pomyłki, spytała, skąd ma takie do niej zaufanie. Stary Conrad chytrze się uśmiechnął i powiedział: „Już ty mnie nie ucz, ja się znam na ludziach”.

Aniela w latach 1930—1935 miała w Warszawie salon literacki. To był osobliwy salon. Odruchowo łączymy z tym słowem wyobrażenie „naprawdę” salonu, jakichś stylowych mebli, obrazów w złotych ramach, elegancji. U Anieli nie było o tym mowy. Żyła zawsze najskromniej. Od czasu do czasu zapraszała do swego niedużego pokoju przyjaciół. Pokój był zawieszony pamiątkami po Conradzie, fotografiami Aniela, przyczołdłi wszystkie literaci, malarze, poza tym spotkać można było u niej zawsze tych niezlicznych cudzoziemców, Anglików czy Francuzów, którzy się interesowali Polską głębiej, serdeczniej. Wszyscy byli przyjmowani z równym entuzjazmem, sadzali ich na swoich brzydkiach fotelach, karmili jakimis kanapkami czy tenimi cukierkami. Przy pierwszym spotkaniu łatwo było można mieć mylne wyobrażenie o Anieli. Superlatywy czułości, którymi zasypywała prawie wszystkich,

TRU DRAMATYCZNEGO

matycznego. 2. Korpusu, który na terenie wojska jest już dziś poważnym czynnikiem społecznym. Niezależnie od wartości artystycznych tego teatru (zależnych od kategorii artystów i możliwości techniczne „materialnych”), jego sprawy repertuarowe zahaczają o wszystkie wyżej wspomniane zagadnienia, plus specyficzne warunki jednego teatru dramatycznego w Korpusie. Teatr ten musi sprostać stawianym mu wymaganiom, musi w różnych okolicznościach służyć różnym celom. Jeżeli wymienimy tylko jeden z nich: stwarzanie czegoś w rodzaju higieny psychicznej dla żołnierzy przebywających w przynębiającej sytuacji politycznej, rozumiemy, że wytyczenie repertuaru dla Teatru Dramatycznego 2. Korpusu wymaga conajmniej poważnej znajomości tego wszystkiego, o czym dotychczas wspomnieliśmy.

Rozpatrując sprawę z innego punktu widzenia możemy stwierdzić, że teatr ten posiada pewne warunki, które bez przesady można nazwać wyjątkami. Ma zapewnioną widownię (a przez to presja materialna odpada) i widza przeważnie nowego, niezapęstę oglądaniem prowincjonalnych (w ujemnym znaczeniu tego słowa) teatrów, których repertuar sędzi po linii rywalizacji z „walkami niedźwiedzi”. Takiego widza nie wolno deprawować.

Z chwilą gdy Teatr Dramatyczny 2. Korpusu dał 9 premier i blisko 400 przedstawień, stał się on zjawiskiem społecznie interesującym. Ocena jego działalności z punktu widzenia społecznego oddziaływania na żołnierzy jest istotniejszą od krytyki estetycznych. Ważniejszym od jak jest owo teatru grał i jaki oddźwięk to co miało u specyficznej widowni 2. Korpusu.

Jeżeli chodzi o stronę estetyczną, teatr ten, częściowo celowo, częściowo zmuszony okolicznościami zrezygnował ze skomplikowanej scenarii teatru współczesnego na korzyść pewnej symplifikacji. Jeżeli chodzi o treść — rezultaty są bardzo interesujące. Powodzenie w sensie najlepszego oddźwięku na widowni uzyskali klasycy. Im bardziej utwór był „dalszy” od rzeczywistości, tym lepiej, gorzej przyjmowała go widownia. Powodzenie (w powyższym sensie) Molliera, Fredry, Goziego („Księżniczka Turandot”) nasuwa praktyczny wniosek. Jeżeli teatr nie ma pozostać sztuką ekskluzywną, musi powołać repertuar pisany dla wszystkich, repertuar zrywający z psychologizmem na rzecz kazań i moralu.

Przy ogólnym upadku poziomu intelektualnego w Europie, jeżeli takiego repertuaru zabraknie, teatrom grozi ponowny kryzys. Nie wątpimy, że będzie istniała sztuka teatralna dla wybranych, ale większość teatrów, poprostu dla celów zarobkowych, będzie musiała kontynuować smutne tradycje teatrów „letnich”. Wszelkiego rodzaju tandetna rozrywka będzie wypierata przedstawieniami artystyczne i prawo Greshama okaże się na tej, mającej 2500 lat tradycji, sztuce. Żyły teatr pokona teatr śródby.

O śmierci Kadena Bandrowskiego i jego syna d-tarły również nowe szczegóły. Kadena, trafiony przez bombę w okresie powstania, żył jeszcze kilka dni i umarł w szpitalu. Jeden z jego synów zginął jeszcze przed p-wstaniem warszawskim. Kadena miał dwóch synów bliźniaków, których ubóstwał. Wciąż lat temu wdywaliśmy u niego tych chłopaków, pusłych przez rodziców, rozbiturmanionych, utroczonych i nie-bylałe do siebie podobnych. Ojciec jeden z nich brał udział w przygotowanym zamachu na gestapowca. Kiedys w jednej kieszeni rewolwer, w drugiej magazynek rewolweru. Kieszka była dziurawa. Mijając Mazowiecką 4, wypadł mi magazynek na trotuar. Zauważył to idący w pobliżu gestapowiec i zaczął natychmiast do niego strzelać. Chłopak odstrzeliwując się, uciekał na Świętokrzyską, tam osaczonej w bramie domu, bronił się do końca, zabił i ranił paru gestapowców. Ostatnią kulę chciał wystrzelić sobie w głowę. Lecz był już tak przetrzyony, że nie miał siły podnieść ręki i strzelił sobie w brzuch. Został dosłownie na śmierć zakopany, zadenatowany przez sforę goniących go gestapowców.

Opowiadano mi, że wiadomość ta, gdy się rozszalała po Warszawie, spotykała przeżnięcie nieoczekiwaną reakcją. Pierwszy odruch tych, którzy się dowiadywali o śmierci chłopca, którego kochało, nie był żal, ale żądrosze. Z a d r o s z e z o n o młodem Kadeniowi, że tak drogo sprzedał życie.

„Kiedy prawdziwi Polacy powstaną...”

TADEUSZ SUKOWSKI

Prosi serce, pióra i rym, żeby los był nareszcie prosty, no bo gdzie Rzym, gdzie Krym, a nigdzie moje łowickie owsy.

Polne myszy i wasy żyta, wieniec łęczniczek a niebo zaraz to jest polskie albo urbe condita, o ruda ziemi Cezara.

TADEUSZ SUKOWSKI

Spiewaj, moja duszo, pieśni w uczynki najej. Niedaleko się w życiu uszu, musisz iść dalej.

Miałeś, że szczęście będzie, nie było, że może będzie mogło. Trzeba wspiąć się pięknie jak jeździec na pracę — muzyczne ślodo.

Tutaj woly mająj rogi jak liry, tu przy ustach winnica łacińska. Coż poradzę, że jestem szczęśliwy tylko w tamtych nieszczęśliwych kartoflikach?

Kiwam się jak żyd w nocie ciemne nad wodą, żeby coś przyszedł z pomocą zlituj się. Morze Śródziemne, nade mną, nad miłością, nad północą.

Uczynki jak flety młode poprowadzą do miłośki od pracy ulica Złoty Stródek z gwiazdką nad balkonem, z Horacym.

Pamiętaj, będzie niejedna bieda, poląciesz się, zgby zaciśniesz, uparta Nie dam się. Nie dam. Najstabsza, zatańcz.

wydawały się sztuczne, może zdawkowe, ale szybko cdkrywał każdy, że jeżeli chodzi o pomoc czuwickowi, to Aniela zawsze jest pierwsza. Ze jeżeli kto jest w biedzie, potrzebuje pracy, lub stypendium, to Aniela zdobywała się na geniusz pomysłowości i zręcznej natarczywości. Trudno policzyć ilu ludziom pomogła.

Jednocześnie tom za tmem wychodziły starannie wydane, dzieła Conrada po polsku, w świetnych Anieli Zagórskiej tłumaczeniach. Nie będę tutaj mówić czym były te tomy dla bardzo wielu z nas. Były one wiele więcej niż literaturą piękną. Kształtowały one nie tylko świadomość artystyczną, ale sumienie i charakter czytelnika. Aniela Zagórska tłumaczka znałymi tylko z książek i jakoś nam te tłumaczenia nie pasowały do miłej, dobrej, szczeniobójczej Anieli z herbatką literackich, jakby się za nią kryła całkiem inna kobieta. Raz tylko dostrzegłem „mna” Aniela. Zastaniam ją przy pracy. Inny to był człowiek, inny wyraz, inne ruchy. Siedziała w starym szlafroku, w pantoflach, z jakimś drucianym okularem na nosie i z pasją wryzała się w każde zdanie. Każde słowo, które jej nasuwało wątpliwość, każdy termin fachowy musiała kontrolować u Anglików, u specjalistów od marynarki, w niezliczonych słownikach. Nie „puszczała” ani jednego zdania, była naprawdę wzorem rzetelności tłumacza.

We wrześniu w 1939 roku bomba zniszczyła wszystkie pamiątki po Conradzie, które posiadała. Aniela się przeniosła do przyjaciółki, tłumaczki Huxley'a i Galsworthy'ego i tam prowadziła dalej swoją pracę. Ostatnim dziełem Conrada, które tłumaczyła, była „Złota Strzała”. Umarła nagle, podczas pracy. Błomaczka 84-tą stronę tej książki. Tłumaczenie to kończy dziś Maria Godlewska i kiedyś, gdy ta książka będzie wydana, to osiemdziesiąta czwarta strona musi mieć czarną obwódkę, by każdy z czytelników mógł wspomnieć z wdzięcznością jej najwierniejszą z tłumaczek.

Stary Conrad znał się na ludziach.

Pogrzeb Anieli był również bardzo charakterystyczny. Zwłoki zmarłych wyłożono wówczas w Warszawie autobusami. Była zawsze ogromna trudność otrzymania benzyny. Wyprawienie zwłok Anieli Zagórskiej wyznaczono na sobotę na 7-mą wieczór. Zebrała się naprawdę „cała Warszawa” literacka. Był stary, zupełnie głuchy Sieroszewski, który żył jeszcze wówczas. Był Kadena. Ogółem kilkadziesiąt osób. Auto nie nadchodziło. Ostatecznie ogłoszono, że nie udało się dostać benzyny do auta. Zbliżała się już godzina policyjna. Wszyscy się rozeszli. Dopiero w poniedziałek rano, przy już o wiele szczeniobójczej asyście, przewieziono trumne na Powązkach, gdzie odprawiono Mszę Świętą w kaplicy św. Karola Bromeusza. Podczas Mszy św. cmentarz został otoczony przez Gestapo. Miano wykryć zapasy broni w jednym z grobów na terenie cmentarza. Zorganizowanie pułapki. Wszystkim obecnym na pogrzebie Anieli kazano w chwili Podniesienia spuścić kościół, a gestapowcy zabrali się do otwierania trumny, w której były jej zwłoki, szukając tam broni, czy materiałów wybuchowych. Książkę nie przeważał nabożeństwo, gestapowcom udało się z wielkim trudem wytłumaczyć, że broni w trumnie nie ma.

Taki był pogrzeb w Warszawie tłumaczki „Złotej Strzały”.

Umyślnie w tych „Ścieżkach” pmięszatem wiadomości o śmierci żołnierzy Armii Krajowej z wiadomościami o zgonie Tytusa Czyżewskiego i Anieli Zagórskiej. Ten stary malarz, który nie przeważał pracy w zbiorowej Warszawie, stracił wszystko, co stworzył przez lata, ta tłumaczka, która pracy swej nie przetrwała w tejże nieugiętej i głodnej Warszawie i zmarła nad stronicami „Złotej Strzały” i ta bohaterka młodzież, ginąca w każdym załomie ulic, broniąca Warszawy — to wszystko ci sami „prawdziwi Polacy”.

„Kiedy prawdziwi Polacy powstaną, To skądże zbierać nie będą narody. A ostupieją i na pień strzelana Wytężą uszy, odemkną gospody.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy, Ze jakiś naród wstał w ciemności dymie, Choć tak rozpaczny, nie w imię rozpaczy, Choć taki mściwy, a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę W przeświećleń serca ludzkiego ciemnicy I przez szandaryjnie sztytuczony złote I przez bój wielki, przy dział bityskawicy.

Coż to, zapyta, są za bezmieńce, Którzy na krwawym stali mogiłniku? Bój tylko widać i ogniste wienie, A zwierzęcego nie nie słychać krzyku”.

Naród wstał w ciemności dymie, rozpaczny nie w imię rozpaczy i „duch odbył robotę w przeświećleń serca ludzkiego ciemnicy”. Ale czy ostupieją narody?

DO DUSZY

Inżynier Gzowski - dobroczyńca Kanady

Montreal, w sierpniu.

1. Przez dziejową burzę do Ameryki

Kanada w swej krótkiej choć dramatycznej historii miała szereg odważnych pionierów i głośnych bogaczy, szlachetnych dobroczyńców kraju i mężów wielkiego serca i fantastycznej kariery, lecz wszystkie te cechy w jednej osobie połączył — dane było cudzoziemcowi, który przybył do Ameryki jako biedny uchodźca, wynagany przez wroga ze swej ojczyzny, słowem, dane było Polakowi Kazimierzowi Gzowskiemu. Jak Kanada — Kanadą, nie było do dziś przykładu, by jaki cudzoziemiec dostąpił tylu zaszczytów i pozyskał tyle uznania, czy to ze strony kanadyjskiego społeczeństwa, czy rządu, czy brytyjskiej królowej Wiktorii osobiście. Przyczyną tego były nieskazitelny charakter Gzowskiego i jego wybitne zdolności twórcze, będące znaną cechą wielu Polaków za granicą.

Pochodząc z kresów wschodnich, z Mińszczyzny, z rodziny zasłużonych żołnierzy, miał ojca, który po rozbiorach Polski służył jako oficer w carskiej gwardii w Petersburgu, a jego, syna swego, postąpił do wojskowej szkoły inżynierii w Kamieńcu Podolskim. Lecz gdy wybuchła powstanie 1830 roku, Kazimierz Gzowski, wtedy podporucznik, zerwał swe więzy z Rosją i przystąpił z bronią w rękę do sprawy polskiej.

Po klęsce w 31 roku — zwiłkła dzieje: ucieczka Gzowskiego do Galicji, więzienie w Austrii, wygnanie do Ameryki. Tu, w Nowym Yorku, wielu z jego towarzyszy niedola ginęło z bezradności i rozpacz, niezdolnych jak się jakośkolwiek praktycznego zawodu. Nie Gzowski! Dwudziesto-letniemu młodzakiowi spodobał się od razu pionierski kraj Yankeesów. Wygnanie zaczął żyć i zaczął pracować. Był muzykalny, więc uczył innych muzyki, a także i fechtunku, spragniony wiedzy, uczył się prawa i zwycięzają nowego kraju. Postąpił do zadziwiająco szybko i już po niewielu latach widany go ukończonym adwokatem. Zdobył sobie również szereg oddanych przyjaciół wśród Amerykanów, cenił się z Marią Beebe, córką poważnego lekarza, i zdawało się, że jego życie potoczy się nadal gładką, wybitną karierą prawnika z normalnym amerykańskim powodzeniem.

Lecz wtedy nastąpił u Gzowskiego szczyśliwy przebiegł zrozumienia, czym on właściwie jest, jeden z tych przebiegłych, które często decydują, czy człowiek pójdzie w górę zamiast w dół, czy stanie się kimś zaradczym, czy też w szereż. Gzowski zrozumiał, że jego natura jest twórcza konstruktywność a nie procesująca się, więc z własną sobie energią decyzji porzucił adwokatyrę i przeszedł do inżynierii, powracając do pierwszej swej profesji z czasów kamienieckich.

Zatrudniony w firmie inżynierskiej, wykonującej prace na pograniczu amerykańsko-kanadyjskim, Gzowski znalazł się pewnego dnia w hotelu w Kingston, ówczesnej stolicy Kanady. Najazuptr po jego przybyciu do miasta zjawiał się u niego adiutant gubernatora generalnego i zapisał go urzędowo, czy jest spokrewniony ze Stanisławem Gzowskim, ongiś oficerem carskiej gwardii w Petersburgu. Młody uchodźca, pełen znych przeczuć, przyznał, że jest synem tamtego i był przekonany, że znów wyprzedzą go i z tego kraju za jego udział w polskim powstaniu. Lecz mylił się.

Sir Charles Bagot, gubernator generalny Kanady, przebywający ongiś w Petersburgu, przyjaźnił się z jego ojcem, i teraz ze szczerą radością powitał w Kanadzie syna swego dawnego przyjaciela. W serdecznej rozmowie, wypytując się o jego losy i plany na przyszłość i dostarczając w nim nieprzeciętne walory, zaofiarował mu pracę w Kanadzie:

— Takiego, jak Pan, potrzebujemy w naszym kraju!

Gzowski nie nie odrzekł; ileż razy słyisał to samo od Amerykanów w Stanach Zjednoczonych! Gubernator zrozumiał jego wanie, i dodał:

— Jest to kraj bardziej pionierski niż Stany, i więcej potrzebuje rozbudowy!

Młody inżynier urzął w swej ambitnej wyobraźni wizję dróg, mostów, kanałów, których jeszcze nie było, a które mógł być stworzyć.

Przystąpił Nie wydalony, jak się tego obawiał, lecz właśnie zaproszony do kraju, w którym czekała go kariera, jaka nie wielu ludziom przypada w udziale. Zaproszony — pod dobrą wróżbą, bo pod znakiem starej przyjaźni między jego ojcem a brytyjskim gubernatorem.

2. Genialny konstruktor

Ludziom starej Europy trudno sobie wyobrazić, czym dla krajów dzwiczycych, jak

przed stu laty Kanada, były środki komunikacyjne. Zaradny emigrant był tam ważny, zachwycił pionier jeszcze ważniejszy, lecz najważniejsze były drogi, bez których ludzka dzielność szłaby na marne w gęstwinie lasów. Tylko drogi budziły do życia, i to dostownie, martwą dotychczas dziczą kanadyjską.

Inżynier Gzowski, mianowany przez gubernatora Sir Charles Bagota kierownikiem robót publicznych w zachodnim Ontario, włożył od razu w tę pracę cały swój młodzieńczy zapał i temperament, iście polski temperament. Była to bujna, pełna chwały saga, tworzona na mapie Kanady i pisana nie zwykłym słowem, lecz piękną mową, szes, portów i lotarń morskich.

Przybywszy z Polski okazał się jakimś fenomenalnym pracownikiem, przyswajającym krajowi najnowsze zdobycze techniki. Przewadził to czasem do zabawnych incydentów,

finansista, rzecz szczególnie cenił w Ameryce — był już jednym z najbogatszych ludzi w Kanadzie. Należy dodać: i z najpopularniejszych, pomimo że dopiero w roku 1871 dokonał największej ze swych prac inżynierskich.

Był to most przez rzekę Niagarę, drugi w ogóle most między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi, konstrukcja olbrzymia, wyjątkowo trudna i wymagająca zarówno dzielności inżynierskiej, jak i nadzwyczajnej energii i mocy ducha. Była to trzyletnia zacięta walka między człowiekiem a żywiołami, które sprzyściły się, by zniszczyć wszystko to, co człowiek zaczynał. Raz spławieniem fundamentów groziły spiętrzone kry, innym razem olbrzymia tratwa, na milę rozległa. Inżynier Gzowski na wszystko znajdował radę i walkę ostatecznie wygrał. Most stanął, a oddany w służbę ludzkości, został uznany za jedno z cudów techniki ówczesnych dni. Nawet

ostatecznie odrzucił jego plan, ażeby nie powiększyć międzynarodowych tarć, lecz zarazem przekonał się o szczerze i uczynności Gzowskiego.

Więc Gzowski, zamiast tego planu, zajął niszową rolę strzeleckiego w Kanadzie, które rozbudowały się w pełną siłę, i tworząc poważny czynnik obrony, koniecznie przychylił się do zacienianiu, węgłom sympatii między Anglią a Kanadą; rok w rok z Kanady wyjeżdżała na imperialne igrzyska do Wimbledon pod Londynem liczna ekipa strzelecka pod kierownictwem Gzowskiego, który w Londynie, dzięki swej niezwykłej hojności i gościnności, stawał się „pierwszym ambasadorem Kanady”, jak go ktoś ze współczesnych nazwał.

Niektórzy historycy kanadyjscy te wojskowo-obywatelską działalność Gzowskiego stawiają na równie płaszczyźnie z jego zasługami jako inżyniera. Nie ulega wątpliwości, że jego osobisty urok i kicunek jego wysiłków przyczynił się w pewnym mierze do utrwalenia spoju Imperium Brytyjskiego, spoju wyraźnie zagrożonych na odcinku kanadyjskim w niektórych okresach 19. stulecia.

Lecz najpiękniejsze ludzkie strony Gzowski ujawniał w swym życiu domowym. Był zawsze najczulszym mężem, troskliwym ojcem i dobrośliwym dziadkiem. Jego wnuki i wnuczki, dziś jeszcze żyjące, w swych wspomnieniach nie mają dość czułych słów o swym przodku.

Gzowski stworzył dla siebie i rodziny wspaniałą siedzibę w sercu miasta Toronto, zwaną „The Hall”, otoczoną parkiem, w którym żyły oswojone jelenie i ptaki leśne. W rezydencji tej posiadał cenną galerię obrazów, sam będąc ich wytrawnym znawcą, — i miał w przyjeźcie, słynne z przepychu i słowiańskiej gościnności. Jakkolwiek nie chciał brać udziału w życiu politycznym kraju, zawsze udzielał chętnie swych porad i służbę doświadczaniem, a wszyscy gubernatorowie generalni mieli się jego osobistymi przyjaciółmi.

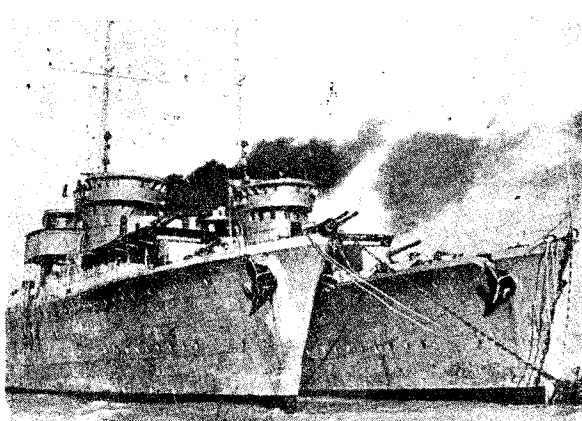
Był to ze wszech miar wybitny człowiek nie tylko na skalę polską czy kanadyjską, lecz wszechświatową, a jego silna indywidualność objawiała się, obok prac inżynierskich, także w decydującym wpływie na swe otoczenie, i w sposobie, w jaki jego osobowość zapładniała wszystkie jego potomków. Ow wojak z pochodzenia, i ducha, a inżynier z geniuszem miał trzech synów i trzy córki. Wszystkie córki wyszły za mąż za brytyjskich oficerów, którzy doślużyliwali się półmiej stopni generałów, w pętomkach mekskich zaś Gzowski jak gdyby przelał swój zmysł inżynierski. Nawet wnukowie tego nazwiska są głośnymi inżynierami w Kanadzie, z których jeden np. buduje liczne mosty w Ontario, inny, C. Stanislas Gzowski, w służbie Canadian Pacific Railways przebiegł przez Górę Skaliste tak przemysłnie tunele, że dziś stanowią wzór zaradności i sprytu inżynierskiego.

Wielu jest dziś potomków Kazimierza Gzowskiego w Kanadzie i w Wielkiej Brytanii. Wszyscy wciąż jeszcze żyją w cieniu jego potężnego ducha. Należą do pierwszych rodzin tych krajów.

Gzowski dożył 85 lat, umierając w 1896 roku. Już dawno były powstanie 31 rok stał się — rzecz jasna — duszą i ciałem Kanadyjszczykiem, lecz w późniejszym jego wieku są dwa zdarzenia, świadczące o jego polskim sercu: pod koniec życia chciał spełnić swą tęsknotę za ojczystym krajem i odwiedzić rodzinne strony, lecz nie mógł, gdyż rząd brytyjski odmówił mu paszportu do Rosji, obawiając się, że mogłaby go tam osiągnąć zemsta urzędów carskich.

Drugie zdarzenie było wtedy, gdy Paderewski pod koniec 19. stulecia urządził koncert w Toronto. Gzowski zgłosił się u niego, a gdy mistrz przemówił do niego po polsku, iż wzruszenia połaty się ciekawym z oczu staruszka.

Tam, gdzie dawniej był jego wspaniały ogród w Toronto, dziś jest publiczny plac Aleksandra, darowany miastu przez rodzinę Gzowskich. I rzecz dziwna, dziś rozlegają się tam często polski język, wesoly gwiazdki dzieci, hasające na placu. Mieści się tu dzielnica, zamieszkała gęsto przez polskich emigrantów. Jest to oczywiście przypadkowe wzięcie okoliczności, tak samo jak przyładkiem było, że ów kapitałny inżynier, uderzająco sarmackim wyglądem i wybitnej postawie romantycznego żołnierza o dziwnym połączeniu w sobie dumy i dobroci, był jakby przeniesieniem żywcem na grunt kanadyjski wszystkich tego, co najlepsze pozostało z ówczesnej Polski.



Polskie okręty wojenne

toż, jak wtedy, gdy Gzowski zbudował most przez rzekę Tamizę w miejscowości London w Ontario. Dobry obywatel tego miasta bał się mostu używać: nowoczesna konstrukcja wydała się im zbyt lekka i pajęca, niesolidna. Na szczęście kwaterował tam pułk artylerii i Gzowski poprosił pułkownika, by na próbie postąpił przez most baterią dział.

— Well, zgoda! — odrzekł sumiasty wojak. — Lecz pod warunkiem, że pan staniiesz pod mostem!

Przesła szczęśliwie bateria, przeszedł cały pułk. Most i inżynier zdobyli zafundowaną łudność, i tak było zawsze i wszędzie.

Po sześciu latach tych prac — brzmiały raporty oficjalne, pełne chwały — nie było okolicy w zachodnim Ontario, w której młody inżynier nie pozostawił widocznych śladów swej wyteżonej działalności. Wtedy powierzone Gzowskiemu inną pracę, przebudowę portu w Montrealu, najważniejszego ujęcia dla produktów Kanady. Gdy po trzech latach dzieła dokonał, zmierzono warty port mógł przyjmować największe statki atlantyckie.

Gzowski, pilnie śledzący wszelkie nowe prądy, pierwszy w Kanadzie zrozumiał znaczenie kolejnictwa żelaznego, które w ówczesnym, w połowie 19. stulecia, zaczęło swój zdobywczy pochód w Ameryce. Pelen entuzjazmu, szybko przyswoił sobie wszystkie tajniki nowej dziedziny. Nie trwało długo, gdy został mianowany głównym inżynierem pierwszej kolei, łączącej Kanadę ze Stanami Zjednoczonymi, tzw. St. Lawrence and Atlantic Railway.

Po jej wykończeniu poszedł o krok dalej: zaczął prywatną spółkę z trzema innymi pionierami kolejnictwa, Mac Phersonem, Galtem i Holtorem, która, oparta na geniuszu Gzowskiego, stała się jedną z najpotężniejszych kompanii owego czasu w Kanadzie. Zвано ją powszechnie „the four biggest”. Budowała koleje szczególnie w zachodnim Ontario, np. między Toronto a granicą Stanów Zjednoczonych na zachód.

Wkrótce niestrudzonemu Polakowi i tego było za mało: założył własną fabrykę konstrukcji żelaznych i szyn kolejowych, których dostarczał dla swych śmiałych przedsięwzięć w kanadyjskim terenie.

Po kilku latach, około 1860 roku, Gzowski, nie tylko wielki inżynier, lecz równocześnie i obrotny przemysłowiec i bystry

olśniony świat inżynierski, zawsze pochlebniejszy do surowej krytyki niż pochwały, orzekł, że „jest to jedna z najbardziej gigantycznych prac na kontynencie amerykańskim”.

Nazwano go Mostem Międzynarodowym, jako że łączył dwa narody, lecz nazwa ta odpowiadałaby jeszcze z innej perspektywy, raczej bardziej osobistej, choć również znaczącej: twórczym motorem tego mostu kanadyjsko-amerykańskiego był przecież geniusz Polaka.

3 Chlubny typ Polaka-Kanadyjczyka

Kazimierz Gzowski miał, między innymi, i uderzającą cechę: że był bardzo przystojny i uchodził za pierwszego wśród przystojnych mężczyzn epoki. Wysoki, barczysty, poważny, o marsowym obliczu, mógł być porównany i zaręczymy przy swym powodzeniu inżynierskim, — a jednak nie to człowiek najmilsi w otoczeniu, skromny, uczynny, o gólbam usposobieniu. Być może, że właśnie ta jego niepomnierna dobroć wraz ze szlachetnym dostojstwem przykuła najbardziej do niego serca angielskie, a szacunek dla niego wyrażał się w tak wyjątkowych a hojnych zaszczytach, jak w mianowaniu jego, byłego cudzoziemca, honorowym adiutantem osobistym królowej Wiktorii, czy nadaniu mu tytułu sir'a. Przez pewien czas powierzone mu zastępstwo nieobecnego gubernatora prowincji Ontario w urzędzie.

Dziwnie bogata, prawie niewyczerpana, była lista zasług tego przybysza z dalekiej Polski. Ow twórca kolei kanadyjskich, mostów i portów miał czas i serce, by na przykład pokochać piękne okolice wodospadu Niagary i przeprowadzić, dla ich wiecznej ochrony, utworzenie tam Parku Narodowego. Ow inżynier szerokokim pomysłem był równocześnie zagorzałym miłośnikiem kwiatów i umiał wyhodować jakiś wyjątkowo uroczy i cenny rodzaj chrzystalu, za który zdobywał z dumą nagrody na wystawach.

Cechą, tak wybitnie — zdaje się — polską, była głęboka jego troska o niepodległość swej przybranej ojczyzny, z którą wiązał się „na śmierć i życie”. Gdy w roku 1861 tzw. ruch feniński zagrażał konfliktom zbrojnym między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi, Gzowski, wypracował szczegółowy plan obrony Kanady i sam nawet chciał finansować budowę niektórych wojskowych ośrodków i składnic. Londyn

Włochy na konferencji londyńskiej

Wielkie dni obrad konferencji pokojowej w Londynie przy udziale ministrów spraw zagranicznych pięciu wielkich mocarstw wykazały brak całkowitej zgodności poglądów. Trudności narastały z dnia na dzień. Każde mocarstwo ma bowiem w interesie własnym, różniący się od innych punkty widzenia i występujące z własnymi projektami. Nie też dziwnego, że konferencja nie rokuje na razie zbyt wielkich nadziei. Oficjalnym programem obrad jest zawarcie pokoju z państwami pokornymi w przyrzeciu z Niemcami. Na pierwszym postawiono sprawę zawarcia pokoju z Włochami, uregulowania kwestii granic włoskich oraz przyszłego losu imperium kolonialnego Włoch.

Nie dziwnego, że we Włoszech zainteresowanie pracami konferencji londyńskiej jest bardzo żywe, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, obecne położenie polityczne państwa na arenie międzynarodowej, które nie jest łatwe. Istniejące warunki zawierania broni, które dotychczas nie zostały uwzględnione, niewątpliwie nie są lekkie, choć w praktyce zostały one częściowo złagodzone, dzięki wysiłkowi zbrojnym Włoch dla wspólnej sprawy Narodów Zjednoczonych, oraz dzięki „lojalnej współpracy z aliantami”, co zostało oficjalnie potwierdzone przez admirała Stone, szefa misji alianckiej we Włoszech.

Jednak cieżki t. zw. „armistizio” ciągle ciąży nad życiem politycznym, społecznym i gospodarczym kraju. Stan taki stwarza niebezpieczeństwo podrażnienia ambicji narodowej, oraz pewnego rodzaju niechęć do aliantów, zwłaszcza zachodnich, na czym komunisty widocznie zależy. Nieraz spotykaliśmy na łamach prasy głosy, które wskazywały, że traktowanie Włoch jest rzekomo o wiele gorsze od traktowania innych państw Rzeszy, przyczem stawiano wynownie jako przykład życiwe stanowisko Rosji wobec... Węgier, Rumunii, Finlandii i Bułgarii. Propaganda zagranicznej polityki sowieckiej niewątpliwie to wyzyskiwała. Do wytwarzania tego rodzaju nastroju przyczyniało się także twarde stanowisko „Foreign Office” w odniesieniu do nieogłoszenia warunków zawieszenia broni.

W sprawie traktowania Włoch na konferencji pokojowej zarysowały się dwa przeciwnie poglądy. Jeden wychodzi z założenia, że Włochy jako winne narówni z Niemcami wywołania wojny, muszą ponieść te same konsekwencje co i Niemcy (za wyjątkiem długoletniej okupacji krajów). Winno to prowadzić do daleko idących odszkodowań wojennych, zmian terytorialnych i t.d. Drugi pogląd uważa, że narodu włoskiego nie można utosiamać z faszyzmem, który ponosi jedynie odpowiedzialność za pchnięcie Włoch do współpracy z Rzeszą. Ten drugi pogląd zyskuje co raz to większe zrozumienie i poparcie ze strony pewnych kół politycznych angielskich, oraz w Stanach Zjednoczonych, gdzie szczególnie silne oparcie posiada w miejscowej emigracji włoskiej, której wpływ jest znaczny. Na konferencji londyńskiej zwycięży prawdopodobnie ten właśnie punkt widzenia, znajdujący uzasadnienie i fakcie, że Włochy znalazły się dziś w obszarze wpływów mocarstw anglosaskich. Zbyt ostre potraktowanie Włoch mogłoby tylko osłabić pozycję angielską w tym kraju a tym samym i w całym basenie Morza Śródziemnego. Inne stanowisko zajęła Rosja. Choć nie występuje ona otwarcie przeciw Włochom, udziela natomiast cichego poparcia swoim sąsiadom Jugosławii i Wiedniowi, wysuwającym roszczenia pod adresem Rzymu, który staje się przedmiotem gry dyplomatycznej wielkich mocarstw. Wygrzywanie „sprawy włoskiej” należy więc znnowo do narzędzi polityki międzynarodowej, jak przed 100 laty.

Takie lub inne załatwienie sprawy pokoju z Włochami, będzie zależało od uregulowania szeregu zagadnień bliższych i dalszych, jak np. sprawa bałkańska i temu podobne. Niektóre kłosa dyplomatyczne w Londynie utrzymują, że Molotow nie zgodzi się na zawarcie pokoju z Włochami zanim ogłoszenie nie zgodzi się na przedyskutowanie traktatów pokojowych z obecnymi rządami Rumunii, Węgier i Bułgarii. Takie postawienie sprawy przez Molotowa, potwierdza tylko fakt istnienia silnych rzdówców w poglądach trzech głównych aliantów oraz utrzymania kwestii włoskiej jako terenu rozgrywki w polityce międzynarodowej.

Obawy społeczeństwa włoskiego co do swojej przyszłości wydają się więc być całkowicie uzasadnione. Prasa włoska już nie raz podkreślała, że pokój musi być oparty na zasadach sprawiedliwości i wzajemnego zrozumienia. „La Patria” w wli-

gile konferencji pisała: „Jeżeli Włochom zostanie narzucony pokój na zasadach zemsty, pozbawiający kolonii, floty, niezależności ustawodawczej i wojskowej a zwłaszcza niektórych terytoriów metropolitalnych, jeżeli — będzie się próbowało zrobić z nich nie podmiot lecz przedmiot w stosunkach międzynarodowych, wówczas równowaga zostanie poważnie zachwiana ze szkodą dla pokoju ogólnoeuropejskiego”.

Wydaje się jednak, że obawy tego dziennika były przedwczesne, skoro wiemy, że Włochy wraz z Jugosławią i innymi dominiami brytyjskimi zostały także zaproszone do wysłania swoich przedstawicieli w celu wzięcia udziału w dyskusji na temat przyszłych granic włosko-jugosłowiańskich. Na czele włoskiej misji — sta-

ła zostanie załatwiona sprawa rekwizycji przez Włochy francuskich okrętów wojennych w latach 1940—1943. Trudno jest w danej chwili przewidzieć, czy Francja będzie trwała przy swoim żądaniu zwrotu tych okrętów, zwłaszcza, że W. Brytania jest raczej skłonna pozostawienia ich Włochom. Pozostaje to w związku z projektem użycia włoskiej floty wojennej jako siły międzynarodowej w przyszłej światowej organizacji bezpieczeństwa. Jedną z baz floty włoskiej mogłaby być Pantellaria, która obecnie będzie stanowiła drugą po Malcie bazę dla floty angielskiej w Basenie Śródziemnomorskim.

Pewną sensacją wywołały rewindykacje austriackie w odniesieniu do włoskich prowincji, Alto Adige (Tyrol południowy). „Rząd” wiedeński w nocy do Rosji, Sta-

ła rząd konstytucyjny. Egipt także ze swej strony domaga się przeprowadzenia plebiscytu na terenach Libii, który miałby wyznaczyć, że miejscowa ludność życzy sobie przyłączenia do Egiptu jako metropolii całego Islamu Najbardziej zaś fantastyczną wiadomością przynosi „Italia Nuova”, która pisze, że „według komunikatu przedstawiciela tureckiego w Londynie, Dulanty, rząd ZSRR ofiarowałby swoje poparcie Turcji w jej rewindykacjach w odniesieniu do Libii, w zamian za ustępstwa terytorialne na rzecz Rosji”.

W odniesieniu do pozostałych kolonii włoskich jak Erytrea i Somalia rewindykacje są wysuwane przede wszystkim przez Abisynię. Rząd abisyński w nocy, złożonej na konferencji londyńskiej, domaga się: „przywroćenie terytoriów abisyńskich, które Włochy zdobyły siłą, a mianowicie Erytrea i Somali oraz reparacji wojennych z tytułu szkód, powstałych w związku z agresją włoską i pięcioletnią okupacją”. Należy zaznaczyć, że swego czasu pretensje do Erytrei wnosila Francja, a do Somali W. Brytania.

Licytacja o włoskie tereny kolonialne zapowiada się interesująco. Jaki będzie jej wynik, trudno jest w danej chwili przewidzieć, chociaż wydaje się, że zwycięży raczej amerykański punkt widzenia, wyrażony przez Byrnesa.

Do tego należałoby jeszcze dodać oficjalny pogląd rządu włoskiego, powzięty na posiedzeniu Rady Ministrów. Został on ujęty w długim memoriale, opracowanym przez komisję techników i sfery rządzące. Przypomina on przede wszystkim, że Erytrea, Somali i Libia nie zostały zdobyte przez Włochy drogą podboju, lecz nabyte z całkowitą zgodą ze strony wielkich potęg, w tym okresie, gdy Włochy demokratyczne szukały na drodze pokojowej rozwiązania swoich trosk emigracyjnych. Poza tym podkreśla się, że Włochy na swoich obszarach kolonialnych, nie prowadziły nigdy polityki ujarzmania i wykorzystywania ludności tubylczej, czego dowodem jest obfity postęp gospodarczy na tych terenach oraz lojalność i przywiązanie ze strony miejscowej ludności wobec państwa włoskiego. Memoriał kończy się stwierdzeniem, że utrata tych terenów stanowiłaby poważny cios dla narodu włoskiego i jego wkląd kulturalnego i cywilizacyjnego na tych obszarach. „W ten sposób owoce intensywnej pracy kolonizatorskiej wielu pokoleń byłyby stracone na zawsze”.

Poszukiwania rodzin

- Kizinski Stanisław i Grajner Barbara poszukują Grajnera Kazimierza ur. 6. 1. 1916 Konstanczyna, w roku 39 w niewoli rosyjskiej. Inf. pod adresem Obóz Polski P. 12. Lubeka (Luebeck) ul. Marli 9 m. 9.
- Kosidowski Leon C.M.F. 442 z Chojnice poszukuje krewnych i znajomych.
- Bruskowski Antoni C.M.F. 442 z Morsk. Swiecie poszukuje krewnych i znajomych.
- Brzeziński Bernard C.M.F. 442 z Grudziądza poszukuje krewnych i znajomych.
- Piotrowski Edmund C.M.F. 442 z Łąkowej pow. Lubawa poszukuje krewnych i znajomych.
- Tadajewski Alojzy i Grurzyński Ignacy C.M.F. 442 obaj z Nowego Miasta na Pomorzu poszukują krewnych i znajomych.
- Szepler Jerzy z Grudziądza C.M.F. 442 poszukuje krewnych i znajomych
- Modelski Izidor C.M.F. 439 poszukuje braci Zygmuntą ur. 1916 abs. Akam. Med. Wet. we Lwowie — i Teofila ur. 1923, którzy przebywali ostatnio w obozie Buchenwald.
- Liebedziejew Józef C.M.F. 104 poszukuje krewnych i znajomych.
- L. Horbaczewska (Afyka) poszukuje brata Józefa lat 23, siostrę Janinę Kulakowską i jej męża Bronisława z pow. Grodno — wiadomości kierować: Nagiel Jaa C.M.F. 338.
- Nagiel Jan C.M.F. 338 poszukuje brata Józefa z pow. Wyrzysk, był w niewoli niemieckiej.
- Kasperek Stanisław C.M.F. 734 T 4-10 poszukuje ojca Józefa ze Słonima.
- Zięba Jan C.M.F. 365 poszukuje braci Piotra, Wincentego, Stanisława i siostry Tadeusza ur. Podswile pow. Działna.
- Rynkiewicz Stanisław C.M.F. 35 proszony jest o skomunikowanie się z córką Aliną oboz polski DP Camp Piccolo Villach. Kaentner (Austria).



Przy robocie konspiracji tej

nał de Gasperi, minister spraw zagranicznych.

Jak wiadomo, Jugosławią żąda od Włoch nie tylko całej Istrii, wraz z Triestem, lecz także obrzymiej sumy przeszło miliarda dolarów tytułem odszkodowań wojennych. De Gasperi w wywiadzie udzielonym korespondentowi „Times'a” oświadczył: „Włochy są skłonne do ustępstw terytorialnych na rzecz Jugosławii, ale pod warunkiem, że nie przekroczą one t. zw. linii Wilsona przechodzącej na wschód od Triestu. Jeżeli będziemy musieli ustąpić miast włoskie takie, jak Fiume i Zara na wybrzeżu dalmatyńskim, wówczas będzie słusznym żądać od Jugosławiów, by zdali oni sobie sprawę z naszych poświęceń”.

Z roszczeniami występuje także Grecja, żądająca wysp Dodekanazu, przyłączonych do Włoch w 1912 roku, w wyniku wojny z Turcją. Wydawało się, że te roszczenia przejdą gładko, bo Włochy nie mają specjalnych zastrzeżeń w tej sprawie, tymczasem wszakże do Dodekanazu zgłosiła pretensje Rosja sowiecka. Wątpliwe bardziej wydają się być pretensje Albanii, nie tylko terytorialne (wyspa Walona) co finansowe. Segajala one cyfr bardzo poważnych. Nieznane jest dotychczas stanowisko Rosji w sprawie odszkodowań wobec Włoch, poza słynnym i niefortunnym żądaniem, przekazanie jej 2/3 tonnażu włoskiej floty wojennej. Ostatnie rozmowy ambasadora włoskiego w Londynie Carandini z Mojtowem wskazywają, że istnieją niewątpliwie jakieś plany sowieckie w sprawie włoskiej. Dotychczas Kreml działał w sposób zamaskowany, popierając żądania belgradzkie w odniesieniu do Triestu, który w planach strategicznych Sowietów ma stać się pierwszorzędną bazą wypadową na zachód.

Francja wystąpiła z żądaniem pewnych poprawek granicznych z Włochami na terenach alpejskich. Pamiętamy jeszcze próbę przyłączenia prowincji Val d'Aosta do Francji. Od tego czasu dużo jednak się zmieniło w polityce Quai d'Orsay. Obecnie żądania są o wiele skromniejsze. Ograniczają się one tylko do rejonów północno-zachodnich, a mianowicie do La Tinea i La Vesubie, z których, jak się wydaje, rząd włoski gotów jest zrezygnować. W zamian za to rząd francuski przyrzekł poprzeć na konferencji w Londynie dezzyderaty włoskie w sprawie posiadłości kolonialnych w Afryce północnej. Min. Bidault zaś udzielił zapewnienia rządowi włoskiemu, że będzie bronił włoskiego punktu widzenia w sprawie Triestu i Istrii. Nie wiadomo jeszcze,

now Zjednoczonych, Anglii i Francji domaga się „zjednoczenia tej prowincji z macierzą”. Jak utrzymują w kołach dyplomatycznych, krok Wiednia znajduje całkowitą aprobatę Moskwy, natomiast kraje anglosaskie, które „rządu” austriackiego dotychczas nie uznały, odnoszą się do jego pretensji niechętnie.

Odrębne zagadnienie stanowi sprawa przyszłości włoskich obszarów kolonialnych. W powodzi rozmaitego rodzaju domysłów, powstających na ten temat, trudno jest stwierdzić, które z nich posiadają najwięcej cech prawdopodobieństwa. Już przed dwoma laty pojawiły się pierwsze głosy co do przyszłości kolonii włoskich. Utrzymywano wówczas, że Włochy stracą wszystkie swoje posiadłości zamorskie z wyjątkiem Erytrei, która została przez nich nabyta w okresie, gdy nie mogło być jeszcze mowy o jakimkolwiek imperializmie włoskim. Później drogą dalszej interpretacji prasa włoska rozciągnęła to także i na Libię, zdobytą przez Włochy w czasie wojny z Turcją w roku 1911-tym.

Jak się ogólnie przypuszcza, sprawa kolonii została już częściowo załatwiona w warunkach zawieszenia broni. Niewątpliwie mogą zająć jeszcze pewne odchylenia od decyzji, zwartych w „armistizio”, zwłaszcza, że nastawienie amerykańskie, a ostatnio częściowo brytyjskie stało się bardziej życzliwe dla narodu włoskiego.

Amerykański projekt załatwienia włoskiego problemu kolonialnego, przedstawiony przez sekretarza stanu Byrnesa, polega na tym, że wszystkie włoskie obszary kolonialne zostałyby przekazane pod zarządek powierniczy, który byłby wykonywany przez rząd włoski przez okres bliźni nieokreślony. Ten jednak projekt koliduje z interesami strategicznymi W. Brytanii, która sta, na stanowisku, że część Cyrenajki, posiadająca obrzymie znaczenie dla systemu obronnego Imperium Brytyjskiego, musi być przekazana pod kontrolę angielską. Stanowisko angielskie pokrywa się także z obietnicą, poczynioną przez rząd brytyjski niejakimśw szczerpom arabskim w sprawie pierwszych miesięcy wojny. „Je nie powrócą one już nigdy pod panowanie włoskie”. W związku z tym pozostaje wystąpienie przywódców arabskich z Trypolitanii i Cyrenajki, którzy wystosowali petycję do rządów amerykańskiego i brytyjskiego, domagając się przyznania im pełnej niepodległości, woinych wyborów, w których wyniku zostałyby zwołany parlament. Parlament ten wyłoniliby z sie-

M. SICHRAWA

Ludzie cywilizowani

(Z cyklu: „Wspomnienia jeńca wojennego“.)

Stajemy na rozdrożu: według tablicy orientacyjnej droga na wprost, na zachód, prowadzi do Prytzt, droga na lewo, niemal prosto na północ, do Stargardu.

Stargard znamy, gdyż w samym mieście znajduje się szpital dla jeńców wojennych, zaś o kilka kilometrów od miasta — ogromny na kilkadziesiąt tysięcy ludzi międzynarodowy Stalag.

Kiedy decydujemy się na Prytzt, ogarnia nas niemiecki patrol pieszy i pod wymierzonymi karabinami, indaguje. Pokazujemy jenieckie znaczki rozpoznawcze i objaśniamy, że w czasie ewakuacji Oflagu II C. w Woldenbergu potawa naszej ewakuowanej kolumny została napażnięta przez czołwiek sowięcką. Podoficer skierowuje nas do Stargardu, gdzie grupa nasza ma zatrzymać się w Stalagu.

Kilkanaście kilometrów uciążliwego marszu po gwałtownie topniejącym śniegu, leżącym jeszcze na zrosie. Na zimo, tylko wysoko nad nami buszują niemieckie myśliwce, przecinając powietrze jak kasłowe usy i zapadają gdzieś na horyzont. Pod wieżozor niemal że wiosenny mimo pierwszych dni lutego, przerywa ciszę dalekie dudnienie, aż w pewnej chwili: jak gdyby cepami walił o klepsko!.. To ciężka artyleria, gdzieś w dali, ale w kierunku Prytzt i z tego samego kierunku suche, krótkie — jak poszczekanie psa — strzały z działek czołgów czy samochodów pancernych. Gdzieś w pobliżu nas wrę bitwa, lub może tylko gwałtowniejsza uderzka.

Szosa przed i za nami pusta: ani jednego oddziału niemieckiego, ani jednego czołgu, wozu z uciekinierami, nie — tylko, poza ogłoszaniem walki, cisza...

Wyczerpani marszem, głodem, ostatnimi przeżyciami, a przede wszystkim do ostatecznej niemal granicy wytrzymałości ludzkiej przemęczeni latami niewoli — czujemy się, p.ęciu bezbronnym, bardzo nieswojo... Powiem szczerze boimy się. Jak to już dawno, gdy byliśmy bohaterami!

Przypuszczamy kroku, a kiedy na zakręcie wylatują się pierwsze zabudowania Stargardu i po lewej stronie szosy rozróżniamy już dokładnie urządzenia lotniska — biegniemy...

— Halt!.. głośnie i ostre przygwałda nas na miejscu. Z wycelowanymi w nasze za pade pierci pistoletami maszynowymi podchodzi ku nam trzech żołnierzy niemieckich, za nimi zaś nadrabiają jak mogą krokiem uzbrojone w mazerzy pacholeta: różniami wśród tych szczeniaków mundury Hitler-Jugend i członków organizacji Todt'a.

Krótko, ale w bardzo wrogim do nas nastawieniu indagację, przerywa raptem coś jak półwiatr wichru w górach i — ledwie znaleźliśmy czas na to, aby przywrzeć jak najdokładniej płasko w płycim, dostatecznie jednak nawodnionym rowie przodczym — dźwięk znany, tyle razy słyszany, nieprzejmny: jakby śrutowinami sypał ktoś z całej mocy po płycie pancerniczej.

Zwaliśmy to na łeb jakiegoś szkapo, *) który nie protestował, stanowiąc bowiem żywą tarczę osłonową przed cekaemami sowięckich myśliwców. Tak mu się przy najmniej zdawało...

Kiedy myśliwcy diabł, wzięli — w przeności, gdyż niemiecka OPL milczała — wyszliśmy z rowu i już postawieni w spokoju przez Niemców, przechadlowawszy stary sweter na bączek komińskiego chleba, ruszyliśmy dalej. Nasza eskorta, bardzo rozmowna, dopytywała, co bolszewicy robią z jeńcami i niemiecką ludnością cywilną.

Nie mogliśmy zaspokoić ich ciekawości...

O zroku przeszliśmy z szosy asfaltowej na „kocie głowy“, co wskazywało, że jesteśmy na przedmieściu. Do środka miasta przybyliśmy już po ciemku. Zaciemnienie dosłownie: żadnego najdrobniejszego światła, żednej, najwęższej choćby smużki; z poza okien lub drzwi domów. Tylko na przeczecach, na skrzyżowaniach ulic, na placach — pasy nafozoryzowanej farby ostrzegają żółtym mdłym światłem, gdzie zaczyna się lub kończy chodnik i gdzie grozi uderzeniem głowy narożnik kamienicy i na każdej bramie, na wysokości dziurki od klucza, drobne, nie wiele większe od grosza kółko; na ścianie każdego domu fosforyzująca litera „L“, wskazująca zejście do „Luftschutzkeller...“**)

Idziemy po omacku, objając umęczone ciało o ściany, parkany, narożniki, o latarnie, które kiedyś rzucały światło...

Potykamy się na nierównym chodniku, zapadamy pytko, ale dostatecznie boleśnie dła nóg i brzucha — kiedy kończy się chodnik i zaczyna się jezdnia. Kilka razy podknęliśmy się dotkliwie o jakieś fantazyjne w swej pomysłowości uliczne zapory przeciwozwoje.

Powiadam do kolegi: — w tym mieście nie popasamy długo.

— Dlaczego?

— Czujesz, bo widzicie, nie możecie, że zapory? Miasto ma się bronić. Albo więc Niemcy nas wyrzucą, albo też — co będzie rozsądniej — sami „opuścimy je bez walki“!

Wychodzim znow na szosę. Po obu stronach samotne, uspione domki, za to sama szosa przetykana gęsto rozłożystymi drzewami. Jest ciemno, nie wiem więc, co to za drzewa. A nawet w dzień zapytany dziś przez mojego nieocenionego profesora: — powiedz, jakie masz przed sobą drzewo! — milczałbym, jak zakłęty.

I zastąpiłbym sobie całkowicie na gniewny wyrok tego zapalonego botanika: — Siadaj... ośle, sia... pa!.. Znowu dwa!..

Noc cicha, niemal ciepła, ale ciągle ciemna. Nie widać gwiazd, zato w półkolu przed nami strzelają w górę smugi ostrego śwada, wstąpiły na nasady, szersze u skle-

powiatne delegatów bratnich organizacji dyskusji nie podlegają.

Dyskusję jednak podjęła prasa. Agencja „Reuter“ podają 14 września, że dziennik „Daily Herald“ — organ Brytyjskiej Partii Pracy — wypowiedział się wprawdzie za dopuszczeniem rosyjskich związków zawodowych do udziału w organizacji światowej — równocześnie jednak wystąpił z ostrą krytyką sowięckiego systemu politycznego.

„Daily Herald“ — który wcześniej już wywołał poruszenie swym otwartym krytycyzmem wobec spraw rosyjskich — odpowiada na twierdzenie Amerykańskiej Federacji Pracy, że „związki robotników wieckich są jedynie instrumentem rządu, zasiadającego na Kremlu, — ponieważ w Rosji nie ma pracowników prywatnych“ — oświadczył:

„Może tak jest. Wydaje się nam jednak, że nie ma słusznego powodu odmawiać rosyjskim związkom zawodowym prawa do udziału w dyskusjach“.

„W rosyjskim systemie politycznym — ciągnie dalej „Daily Herald“ — jest wiele takich rzeczy, które niepokoją umysły członków brytyjskich związków zawodowych. Nasze zarzuty przeciw temu systemowi mogą być wypowiedziane z doskonałą otwartością Rosja nie ma parlamentu ani partij — w tym znaczeniu, w jakim my obywatel W. Brytanii i St. Zjednoczonego rozumieją te słowa: parlament i partie. Rosja nie ma wolnej prasy ani swobody wypowiedziania się. W Moskwie człowiek nie może — jak u nas pod „Łukiem Marmurowym“, w tym słynnym miejscu Londynu, gdzie mówcy polityczni przemawiają swobodnie do tłumów — ani wystąpić publicznie z otwartą krytyką rządu ani publikować niezależnych poglądów politycznych w „Prawdzie“ lub w „Izwiestjach“.

Na dowód „Daily Herald“ przytacza definicję demokracji, którą podał Premier Attlee, kiedy przemawiając we wtorę na kongresie w Blackpool, powiedział, że „Demokracja — to rząd większości z należytym uwzględnieniem praw mniejszości, — co znaczy, że wprawdzie wola większości musi górować — musi jednak istnieć toleracja wobec opinii opozycji“.

„Czy można utrzymywać — pyta dziennik — że system sowięcki w obecnym czasie usprawiedliwia tę definicję demokracji? — Z całą pewnością: Nie! Wraz z Amerykańską Federacją Pracy gotowi jesteśmy powiedzieć z całą pewnością: Nie!“

„Czy jednak w akcji naszej mamy dalego obrać kierunek powstrzymania się od kontaktu i współpracy z ludem Związku Sowięckiego? — Na pytanie to odpowiadamy jeszcze nawet bardziej dobitnie: Z całą pewnością: Nie! Takie odnieście się było bezrozumne. Każda ocena obecnego systemu sowięckiego musi brać pod uwagę to historyczne, z którego system ten się wywnyżył.“

Przyznajemy, że system sowięcki ma wiele cech ciemnych i odrażających. Przyznajemy, że Rosja jest oddalona o miliony mil od zachodniej demokracji. Zarzuty te wznajmy Rosji otwarcie i w całej ich osnowie. Wszędzie — w całej Brytanii — nasi górnicy, pracownicy i robotnicy rolni — gdyby stanęli twarzą w twarz przed Stalinem, nie zawahaliby się zadawać mu badawczych pytań i domagałoby się odeń odpowiedzi. Jednak między ludźmi tych samych zawodów istnieją węzły pokrewieństwa — bez względu na to, jaki jest ich rząd lub narodowości.“

„Nie mogę ani uznać ani przyznać — powiedział on — by grupa rosyjska miała charakter prawdziwej organizacji związków zawodowych. Związki robotników sowięckich były i pozostają nadal instrumentem rządu, zasiadającego na Kremlu, ponieważ w Rosji nie ma pracowników prywatnych. Związki sowięckie są urzędami administracji państwowej i rządu dyktatury partyjnej. Te rzekome „związki zawodowe“ powołane są dla popierania interesów państwa sowięckiego — nawet wtedy gdy jest to połączone z krzywdą dla interesów robotników. Rosyjskie związki zawodowe popierają aktywnie bolszewicki system pracy, czarne listy deportacji do obozów pracy, co w rezultacie oznacza niewolnictwo milionów chłopów, robotników i innych pracowników zawodowych, którzy uwięzieni są w obozach pracy bez możliwości obrony przed eksploatacją i przymusową pracą.“

„Dla nas — oświadczył Meany — udział w organizacji światowej, która usiłowałaby dyktować naszemu rządowi kierunek jego polityki zagranicznej, — jest nie do pomysłenia“.

Mowa G. Meany wywołała protesty niektórych delegatów, lecz Amerykanin nie dał sobie przetrwać, a konkluzja jego przemówienia była gorąco oklaskiwana.

Przewodniczącemu kongresu E. Edwards oświadczył, że mowa G. Meany, nie będzie poddana dyskusji, ponieważ wypowiedzi

Byliśmy bardzo zmęczeni, lecz przede wszystkim głodni. Nie mieliśmy nic do zmiiany u Francuzów na żywność.

Mimo zmęczenia nie przeszła koszmarna: tripiące sny, wizje w górzące, przedmienie i do rana kilkakrotnie pobliskie defonacje, odgłosy walk pod Prytzt, przytępiły ruch kolowy na bieżącej opodaszosze, krzyki i nawoływania Niemców, którzy — jak dowiedzieliśmy się rano — ewakuowali tej nocy cenniejszy sprzęt techniczny izby chorych — wszystko zbity się na to, iż wstaliśmy rano jeszcze bardziej zmęczeni.

Poranne ziółka *), bez kromeczki suchego chleba, smakowały nie gorzej niż centuria, kiedy byłem jeszcze cudownym, ale tylko w oczach matki, dzieckiem...

Od samego rana ruch w naszym baraku wizyta lekarzy polskich i opatrzywanie okaleczonych nóg przez cywilka sowięckiego, ustalanie zdanych i niezdatnych do dalszego marszu, rwanie bolących zębów, słowem, urwanie głowy... Potem rozdzielano darów od Kanadyjczyków, Serbów i Francuzów: bielizna, ręczniki, mydło, buty, nawet mundury i, co najważniejsze w tej chwili — paczki żywnościowe od American Red Cross.

Przypowiadają do mnie, jako do „Amerykanina“ dwóch Kanadyjczyków, sierżantów. Ich serdeczność, bezpośrednie podejście, mocna „Nesca“ i doskonale „Sweet Caporal“, czynią nas szybko przyjaciółmi. Sierżant E. Rey Langstaff, Amerykanin, który wstąpił w roku 1940 jako ochotnik do armii kanadyjskiej, gdyż nie mógł się doczekać wypowiedzenia wojny Niemcom przez USA, — opowiada ze wzruszeniem swoje przeżycia na Śląsku Polskim, gdzie pracował na roli jako jeńiec wojenny. Znał tam, jak opowiada, dużo pomocy i gorącego serca od Polaków, ale też i naprzytył się, jak Niemcy katowali oporną ludność...

Pokazuje mi przeguby rąk: wokół sine, głębokie pierścienie, ślady po kajdankach, wzięty do niewoli, niemieckiej pod Dieppe, przesiedzieli w więzieniu w kajdankach przeszło jedenaście miesięcy.

Jego kolega sierżant C. Dewull, Kanadyjczyk, dzielił ten sam los, z tą tylko różnicą, że był ciężko ranny... i przesiedzieli w kajdankach tylko siedem miesięcy.

Opowiadam Amerykanowi i Kanadyjcykowi o zbrodniach niemieckich w Polsce, na polskich jeńcach wojennych i w obozach koncentracyjnych. Przysadzają się do nas koledy oficerowie. Każdy derzucha od siebie jeden lub więcej strzałowych fragmentów. Langstaff twierdzi, że zbrodnie nie mieście, tylko te, które on nauce nie widział, są już ponad wiarę ludzką i że wątpi, czy po powrocie do domu uwierzą mu nawet najbliżsi krewni.

— Ale — dodaje — w tym jednym tylko obozie poza mną i poza sierżantem Dewull, jest przeszło 1200 żołnierzy amerykańskich — ofiary zbrodniarzy niemieckich: wzięci do niewoli podczas ofensywy w Ardenach w grudniu 1944 roku, przeprowadzonej przez marszałka von Rundstedta, odarci z płaszczy, mundurów i butów, bici kolbami i gnani na pieduchę przez 7 dni wśród śnieżycy lub przy 20 stopniowym mrozie, ci którzy przetrzyli — mają odmrożone płuca i nogi powyżej kostek.

Zapchani do oddzielnych baraków, do dątkowo cudrowanych, izolowani kompletie, bez dostatecznej pomocy lekarzkiej, bez lekarstw, bez opatrunków, bez paczek Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, gdyż niemiecka komenda obozu nie pozwoliła wydać z magazynów — gniją, do słownia, za życia. Słabsi umierają; codziennie po kilka pogrzebów.

Poszedłem tam z Kanadyjczykami w noc. Postuerunek niemiecki wzięł bakszysz w postaci papierosów amerykańskich.

Baraki drewniane, niskie, okienknie szczelnie zamknięte, kilka prostych ław, po jednym stole i lampka: puszka po konserwie amerykańskiej, w której na powierzchni roztopionego łożu niemieckiego pływa płonący knot ze sznurka od gaci... Trzy piętrowe drewniane baraki, po 40 w baraku (na 120 ludzi), a z tych klatek wzniesione umęczone twarze nie ludzi, ale ludzkie szkielety. Oczy błyszczą, trawione głodem, gorączką.

W barakach smród, zalatujący od ran i bandaży.

Czy jestem w grobowcu, czy jeszcze wśród żywych?...

O, Niemcy, ludzie cywilizowani!...

*) Przepis na niemiecką herbatę: na pół (ach) i w rowach przedroźnych zbierać w zioła, których już nawet kosa nie ruszy. Suszyć, pokruszyć, dobrze wymieszać i gotować. Podane do stołu smakują jak doskonała herbata (patrz: Militäerwachenblatt Nr. 14, z 12 kwietnia 1942 r.)

*) obeżywa nazwa dla Niemców.

***) schron przeciwlotniczy.

Londyńska próba sił

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

W poprzednim naszym przeglądzie tygodniowym zwróciliśmy uwagę, że konferencja londyńska zebrała się w atmosferze napięcia w stosunkach angielsko-sowieckich, napięcia największego bodajże w czasie zwiazania się mocarstw zachodnich z Sowietami i że wygląda na to, iż powstanie ona będzie pierwszą bardziej zdecydowaną próbą sił.

Najwyższe przypuszczenia nasze potwierdziła całkowicie ostatnie depesze z Londynu, że to tylko zmiana, że naprężeniu ulęknęły się tylko stosunki sowiecko-brytyjskie, nie tylko amerykańskie.

Zasadnicze starcie pomiędzy sowieckimi i anglo-amerykańskimi interesami — i to w sprawie sprawowania z Londynu nad Rumunią 19 b. m. korespondent „United Press” — w dwu ważnych punktach zdaje się zagrażać sukcesowi konferencji ministrowi spraw zagranicznych pięciu mocarstw.

Mołotow krytykuje i grozi

Sam przedmiot sporu ujawnił Mołotow na konferencji prasowej, jaka odbyła się w sowieckiej ambasadzie w Londynie w dn. 18 b. m. Przedstawiciel prasy przyjeździł w bogatym apartamencie, wyglądał w sposób formalnie na ogrodnika Komisarza spraw zagranicznych Związku Sowieckiego siedzącego na poczytnym fotelu za stołem przykrytym czystą materią. Ołoczony futrem kapturkiem i paląc papierosa, udzielał odpowiedzi w języku rosyjskim.

Mołotow wystąpił przede wszystkim z krytyką zbiorowego kolonialnego powiernictwa, które Stany Zjednoczone proponują zastosować do kolonii włoskich. Uchylał się od dokładnych wyjaśnień odnośnie sowieckich żądań w stosunku do Italii i włoskiego stanowiska, w dyskusji nad granicami jugosłowiańsko-włoskimi, gdyż „sprawy te są w trakcie omawiania przez konferencję”. Mołotow oświadczył, iż Związek Sowiecki jest zainteresowany w sprawie kolonii włoskich i że jest „zaimo prawdy” w informacjach twierdzących, iż Rosja domaga się powiernictwa nad Trypolitaną. Rosja jest zainteresowana w uzyskaniu punktu oparcia na Morzu Śródziemnym.

Przechodząc do kwestii zbiorowego powiernictwa nad koloniami Mołotow oświadczył: „Związek Sowiecki ma wątpliwość czy tego rodzaju „zbiorowe powiernictwo” będzie dobrze funkcjonować, jeśli się zwąży, że dotąd nigdzie nie zostało wypróbowane. Poza tym, jeżeli zwolennicy zbiorowego powiernictwa dla kolonii włoskich żądają wskazać nam inne terytoria, gdzie na zasadzie może być zastosowana, to my będziemy bardziej skłonni do jej przyjęcia”.

Zapytany przez dziennikarzy, jakie „inne terytoria” ma na myśli, Mołotow uchylił się od bliższego wyjaśnienia tego tajemniczego zwrotu, jednak w kołach dziennikarskich przypuszczają, że miał on w tym wypadku na myśli niektóre obszary i wyspy na Dalekim Wschodzie i Pacyfiku, gdzie Stany Zjednoczone zapowiedziały, iż domagają się będą wyłącznie przez siebie kontrolowanych baz. Być może, że miało to także i odpowiedź na oświadczenie amerykańskiego ministra marynarki, który oświadczył, że po wojnie Stany Zjednoczone muszą zapewnić sobie możliwość kontrolowania wszystkich mórz, używając do tego celu flotę, która mogłaby w każdej chwili i w każdym kierunku zadecydować o wysłaniu atomowymi”.

Mołotow chodzi o bomy Dodekanazu, to Mołotow wyraził pogląd, iż objęcie one będą skutkiem pokojowym z Włochami i że nie wchodzi one w skład włoskich kolonii.

Na wysunięte przez Mołotowa żądanie w sprawie Morza Śródziemnym zareagowała bardzo mocno prasa brytyjska, M. in. „Daily Telegraph” oświadczył, że z równym powodzeniem Wielka Brytania mogłaby „udać bazy w Zewnętrznej Mongolii”. Podważona w tej formie sprawa mandatu kolonialnych jest podjęciem na nowo niezagadnienia kolonialnego, które trybunał w San Francisco wywołał przy układaniu w 1945 roku odwołanie się Trumanem do Stanów Zjednoczonych do znalezienia kompromisu w sprawie. Jest to równocześnie moskiewska przygrzywka do dyskusji na temat rozkładu dawnych japońskich mandatów kolonialnych. Atak Mołotowa wymierzony jest tutaj zarówno przeciwko Stanom Zjednoczonym jak i Wielkiej Brytanii.

Obrona Grozy i Bułgarii

W sprawie mocniej i stanowczo wystąpił Mołotow w obronie obecnych rządów w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech. Oświadczył, że „te trzy narody posiadają demokratyczne rządy, cieszące się zaufaniem przeważającej większości ludności tych krajów”. Z całą stanowczością bronił rząd Grozy, twierdząc, że poprzedni rząd gen.

Radescu nie tylko że był anty sowiecki, ale nie umiał zagwarantować wewnętrznego porządku. Rząd Grozy — zdaniem komisarza sowieckiego — popierany jest przez większe partie w tym kraju, a „narodowi sowieccy sądzi, że istotnie są kraje, w których zagadnienie zmiany rządu nie tylko dojrzało, ale jest naglące — lecz nie sady, ażeby to się odnosiło do Rumunii, Bułgarii i Węgier”.

Korespondent „United Press” wyraża przekonanie, że to stanowisko Rosji w sprawie rządów w krajach bałkańskich i w Rumunii przedstawia groźne niebezpieczeństwo dla rozwoju konferencji tym większe, że ani Waszyngton, ani Londyn nie zamierzają w tej sprawie ustępować. Dobrze poinformowana kora — mówi ten sam korespondent — są zdania, że wkrótce nastąpią dalsze nowe kroki Stanów Zjednoczonych w związku z demokratyzacją rządu w Bułgarii. Angielscy i amerykańscy obserwatorzy na tym terenie są zdania, że Bułgaria jest słabym punktem w sowieckich planach umocnienia swojej sfery wpływów na Bałkanach. W samej Bułgarii nastroje dla Rosji są raczej nieprzychylnie. Przyczyną się do tego ogólnie kraju z żywności przez stutysięczną armię okupacyjną, która ma do tego prawo wysyłania przesyłek żywnościowych do swoich rodzin w Rosji. Według obliczeń obserwatorów anglo-amerykańskich, w razie zabezpieczenia nawet w 70 procentach demokratycznego charakteru wyborów bułgarskich, komunisty nie uzyskają więcej jak 300 tys. głosów na dwa miliony uprawnionych w Bułgarii do głosowania. Odwołanie wyborów pod naciskiem Ameryki i Wielkiej Brytanii było poważnym ciosem dla komunistycznego prestżu w całej południowo-wschodniej Europie i z powrotem obudziło zaufanie do kół antykomunistycznych. Poza tym rząd bułgarski i polityczne koła w Bułgarii obawiają się, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zechcą poprzeć terytorialne pretensje Grecji w stosunku do Bułgarii.

Pogróżki pod adresem Grecji i Ałiantów

Mołotow broniąc swoich komunistycznych rządów w krajach bałkańskich zaatakował równocześnie obecny rząd grecki. W swoim wywiadzie do dziennikarzy w Londynie powiedział: „Zapewniam was o przekonaniu Związku Sowieckiego, że im prędzej zostanie utworzony naprawdę demokratyczny rząd w Grecji tym lepiej będzie to dla Grecji samej i dla Ałiantów”.

Trudno nie dopatrzeć się w tym powiedzeniu Mołotowa wyraźnej pogróżki, poza którą kryje się widmo niedawnej rewolty komunistycznej w Grecji. Dzięki stanowisku Rosji Grecja nie została dopuszczona do londyńskich rozmów w sprawie traktatu pokojowego z Włochami. Wywołało to olbrzymie rozgorzczenie wśród Greków. Demokratyczne pismo greckie „Vima” w wstępnym artykule daje wyraz temu rozgorzczeniu i rozczarowaniu narodu greckiego, pisząc: „Jaka jest przyczyna dla takiego ukarania narodu greckiego? Jakże jest wytłumaczenie tego? Czyżby sprzymierzeńcy zapomnieli o tym, że Grecja jest pierwszym krajem na który spada ciężar włoskiego ataku i że waleczna postawa małej armii tego kraju dała pierwszą nadzieję i radość w tych ciemnych dniach 1940 i 41 roku? Gdzie są te słowa mówiące o nagrodzie i sławie, jakie miały przyjąć po latach naszych trosk i wysiłków przeciwko wspólnemu wrogowi?”

Czyż można się dziwić temu rozgorzczeniu narodu greckiego? Ale podobne pytania rozlegają się — jak dotychczas nadaremnie — i obszarów polskich rządzone przez moskiewskiego agenta. Sprawiedliwość domaga się gnębiony przez kajdaniarskie rządy Tita naród jugosłowiański.

Dziennik grecki oskarżał się również na niedostateczną pomoc UNRRY i na zniszczenie w 80 procentach handlowej floty greckiej, co utrudnia kontakt między wyspami greckimi. Komunikacja w Grecji w dalszym ciągu jest zniszczona a wagony i lokomotywy kolejowe zostały zagarnięte przez Bułgarię i nie ma możliwości wydobycia tego sprzętu z powrotem. Jest rzeczą oczywistą, że przeciąganie się tego stanu jest wadą na młyn żywiołów komunistycznych, które w każdej chwili na otrzymanych od swoich mocodawców rozkaz gotowi są do agresywnych wystąpień. Przeciwnie pan Mołotow w Londynie ostrzegają i... grozi.

Mimo jednak tych rosyjskich pogróżek rządy Stanów Zjednoczonych Wielkiej Brytanii i Francji zawiadomyli Grecję, że przedstawiciele ich wezmą udział w komisji kontrolującej wybory greckie, które powinny poprzedzić plebiscyt w sprawie wypowiedzenia się, czy Grecja ma pozostać

nadal monarchią, czy też przejść na system republikański. Wybory greckie mimo zastępowania Rosji i powtrzymywania się jej od udziału w komisji kontrolującej odbędną się niebawem.

Decyzja w sprawie granic Jugosłowiańsko-włoskich

Przy akompaniowaniu tych wypowiedzi i pogrózek konferencja londyńska wydała komunikat, w którym stwierdza, że postanowiła przekazać swojemu sekretariatowi całą problem granic włosko-jugosłowiańskich i Triestu do zbadania i do zreferowania przy przestrzeganiu następujących dwóch zasad:

1) Linia graniczna zostanie przestudowana przy uwzględnieniu zasad etnograficznych w ten sposób, aby możliwe jak najwięcej ludzi mieszkających dostają się pod obcą administrację. Zbadanie tej sprawy i jej przeprowadzenie wymagać będzie prac na miejscu w terenie.

2) Zbadanie zostaną warunki i możliwości ustanowienia międzynarodowego zarządu portu i instalacji portowych w Triescie na warunkach równorzędności dla całego handlu międzynarodowego oraz dla Jugosławii, Włoch i Europy środkowej, na wzór innych wolnych portów światowych.

Komunikat konferencji londyńskiej wywołał rozczarowanie we Włoszech i to tym większe, że poprzedzony on został oświadczeniem marszałka Alexandra, zapowiadającym, że „okupacja Włoch przez wojska alianckie skończy się wtedy, gdy spór terytorialny o Wenecję Giulia zostanie definitywnie uregulowany”. To oświadczenie marszałka Alexandra, pozwalało przypuszczać, że niedłuka już jest chwila, kiedy z Włoch odwoływane zostaną wojska alianckie, tymczasem sposób ustalenia granicy włosko-jugosłowiańskiej, zdecydowany w Londynie, może przydłużyć tę okupację przynajmniej o 6 miesięcy.

I w Austrii

Naprężenie w stosunkach między wielkimi aliantami przejawiało się ostatnio i na terenie Austrii, gdzie rząd sowiecki, wykorzystując swój wpływ na przez siebie utworzony marionetkowy rząd Rennera, narzucił Austrii układ o eksploatacji pól naftowych w południowej Austrii, których produkcja cała miałaby być skierowana do Rosji. Agencja „International News Service” donosiła onegdaj, że podpisanie tego układu zostało odłożone — zdaniem agencji — z powodu nacisku dyplomacji anglo-amerykańskiej na wiedeńskie władze.

Jugostawia domaga się likwidacji Tita

Przebywający na emigracji Jugosławianie podjęli na szeroką skalę zakrojoną akcję wydrucia swego kraju z objęć czerwonego totalizmu. Przedłożyli oni londyńskiej konferencji ministrów obszerny memoriał, w którym oskarżają otwarcie marszałka Tita i jego rząd o totalizm i stwierdzają, że Tita nie ma nic wspólnego z demokracją i z wolnością.

Jugosławia — czytamy w memoriale — jest dzisiaj rządzona całkowicie przez mniejszość partii komunistycznej, przez silną zbrojne o charakterze wyłącznie politycznym, które występuje pod nazwą „armii jugosłowiańskiej” oraz przez organizację policyjną O.Z.N.A. (odpowiednik jugosłowiański NKWD). Wojna domowa w dalszym ciągu trwa w Jugosławii. Wprowadzenie ustroju demokratycznego, stanowi jedyną drogę do zaprowadzenia pokoju.

Przywódcy partii politycznych proponują dwa sposoby rozwiązania wewnętrznego problemu jugosłowiańskiego i uspokojenia ludności: 1) utworzenie nowego rządu z udziałem wszystkich partii demokratycznych łącznie z partią komunistyczną; 2) zapowiedzenie przeprowadzenia szybkich wyborów parlamentarnych na zasadzie wolności i lojalności.

Jako krok wstępny do realizacji wyżej wymienionych żądań, partie proponują, ażeby do Jugosławii udała się aliancka misja wojskowa w celu zaprowadzenia porządku, stworzenia nowej armii i nowej policji, któreby nie miały charakteru politycznego. Inna misja aliancka, ale już nie wojskowa musiałaby przeprowadzić przy wyborach.

Przedstawiciele partii jugosłowiańskich proszą również, ażeby UNRRA nie zaprzestała swojej działalności i nadal wysyłała pomoc ludności Jugosławii, która znajduje się w sytuacji bardzo ciężkiej.

Do scharakteryzowania działalności Susebica, który nie posiada w kraju żadnych zwolenników i który zawiera umowy tylko pewną częścią jugosłowiańskich ruchów oporu, ignorując wszystkie inne, a nawet tych, którzy znajdują się na emigracji

w Londynie, memoriał konkluduje: „Nie ma żadnych powodów, ażeby nadal nawiązać obecny rząd dyktatorski. Jeżeli aliancy będą nadal trwali przy takim stanowisku, będzie oznaczało to, że oni nie tylko się zgadzają na pozostawienie systemów totalitarnych, lecz że także zamierzają przekreślić cele i ideały wspólnej zwycięskiej wojny”.

Pod tym memoriałem podpisali się: Slobodan Jovanowicz, b. prezes rządu koalicyjnego jugosłowiańskiego w Londynie; M. Gabryliwicz, przywódca serbskiej partii chłopskiej; J. Benjamin, wiceprezident Krajowej Narodowej Partii Jugosłowiańskiej; Wiesław Wilder, prezydent komitetu wykonawczego partii demokratyczno-niepodległej; Knezewicz z partii demokratycznej oraz Miletic z partii radykalnej.

I w Polsce też musi nastąpić zmiana

W Polsce też sytuacja wymaga naglącej zmiany i likwidacji dyktatorskiego systemu. Zastosowanie do Polski mikołajczykowski-bierutowe wydanie jugosłowiańskiego paktu Subasica-Tito wydało jeszcze fatalniejsze następstwa. Wbrew rozmaitym usypiającym i pocieszającym zapewnieniom Polska jest systematycznie niszczona. Na innym miejscu dzisiejszego numeru piszemy o nieomal oficjalnym stwierdzeniu w Londynie, że Polska przestała być samodzielnym państwem. Uzupelnieniem i poświadczaniem tego faktu są drukowane w amerykańskiej prasie polskiej wrażenia z podróży po Polsce i po Rosji członka Kongresu Amerykańskiego Gordona, który z trzema innymi członkami Kongresu był w drugiej połowie sierpnia w Warszawie. Artykuły te przedrukowuje „Dziennik Polski” w Londynie.

Gordon mieszkał w Warszawie w hotelu „Polonia”, gdzie również mieszka ambasador Stanów Zjednoczonych. W przeciwieństwie do nędzy ludności jedzenie w „Polonii” jest luksusowe. W Warszawie obowiązuje godzina policyjna od godz. 9-tej wieczór. Wśród ruin całą noc słychać strzelanie. Nikt nie jest pewien życia i bezpieczeństwa.

Stosunki polityczne — mówi Gordon — są gorsze niż Amerykanie przypuszczają. Władze sowieckie nie dopuściły do rozmowy członków Kongresu z Mikołajczykowskim, Grabskim i Rzymowskim. Pozwoliło im rozmawiać jedynie z Popielem, Kolem i Stańczykiem. Stańczyk wyraził niezadowolnienie z faktu, że ambasador polskim w Waszyngtonie ma być mianowany prof. Lange.

Zdaniem Gordona w obecnych warunkach całkowitej kontroli władz w Polsce przez wojska i urzędników sowieckich wybory są nie do pomyślenia.

Stosunki religijne podobnie jak i polityczne są również w Polsce opłakane. Nad wszystkim ciąży twarda ręka okupacji rosyjskiej.

W rozmowach z innymi członkami Kongresu Gordon stwierdził, że Polska jest prowincją sowiecką. Sytuacja gospodarcza pogarsza się zamiast polepszać, gdyż armia sowiecka nie tylko że żyje z kraju ale grabi i wywozi. Ludność polska otrzymuje mało pomocy z UNRRA, gdyż większość zabiera Rosjanie i sprzedają po wysokich cenach na czarnym rynku. Rozkładanie prześięk UNRRA rozpoczyna się już w porcie Konstancza. Na czele misji UNRRA w Polsce stoi urzędnik sowiecki Mienszykow, w samej zaś misji nie ma ani jednego urzędnika Polaka. Urzędnikom amerykańskim UNRRA zabroniono nosić mundury.

Zdaniem Gordona reforma rolna spowodowała ruinę rolnictwa. Chłopom zabrano inwentarz, konie, krowy, maszynę rolniczą. Ze zbiorów zaś musi każdy oddawać 80% rządowi. Na wszystkich drogach wiodących na wschód widać stada bydła pędzone przez wojska sowieckie do Rosji.

Gordon spotkał w Warszawie żołnierza polskiego 2 Korpusu, który przybył dozwolnie z Włoch do Polski. Nie zastął on ani domu ani rodziny, nikt nim się nie zajmuje, i chodzi bez pracy. Płacząc, opowiadał o swoim losie i prosił Gordona, by przestrzegł żołnierzy polskich na Zachodzie przed tym co ich w Polsce czeka.

Celem misji Gordona było zapoznanie się z działalnością UNRRA i ze sposobem wykorzystywania amerykańskiego „Lend and Lease” w Europie. Gordon przygotował obszerny raport, który będzie oficjalnie odczytany Komisji Zagranicznej w Izbie Reprezentantów z końcem września.

Mamy nadzieję, że raport ten, obok licznych już w tej sprawie apelów legalnych władz polskich na emigracji, skłoni wreszcie rządu Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych do likwidacji tagifarsy mikołajczykowski-bierutowej do wszczęcia stanowczych kroków, likwidujących w Polsce okupację czerwonego totalizmu.

PRZEGLĄD PRASY

Głos szwajcarski o pokoju

Spokojna i obiektywna „Gazette de Lausanne” w art. redakcyjnym p.t. „Pokój” (z 28 ub.m.) omawia trudności obecnego okresu powojennego.

Przed wszystkim wojna jest normalnym stanem ludzkości, stwierdza autor, przypominając, że w starożytnym Rzymie świątynia Janusa otwarta w czasie wojny, była zamykana w ciągu tysiąclecia tylko siedem razy i to zawsze na krótko. Nie ma powodów przypuszczać, aby okres, w który wchodzimy, miał stanowić wyjątek.

Jeżeli ma być wojna, to skąd ona nadejdzie, zapytuje z niepokojem szwajcarski dziennikarz. I bezpośrednio potem zajmuje się „dziwacznym apetytem”, dzisiejszej Rosji, która nie chce czy nie umie ograniczyć się do własnego terytorium.

„Nacisk rosyjski odbywa się i w Azji i w Europie; skończył on się wprawdzie niepowodzeniem za caratu, ale może odnieść sukces przy obecnym reżimie”.

Poza działaniami do nabytków terytorialnych Rosja zmierza również do zapewnienia sobie na przedpolu ogromnych stref wpływów, co jest rzeczą nową. W krajach, jakie się w tej strefie znalazły Rosja zapewnia sobie dopuszczenie swoich kreatorów do kluczowych pozycji w administracji; jako przykład dziennik przytacza sytuację w Polsce.

„Moje sympatie zawsze były po stronie Polski i nie czynię jej odpowiedzialną za to, co się robi w jej imieniu. Rząd działający w Warszawie nie reprezentuje narodu. Oddał on Sowietaom wielkie terytorium na wschodzie, gdzie Polacy stanowili większość ludności; wzamian za to — na zasadzie nie bardzo jasnych praw historycznych — doznaga się znacznej przestrzeni na zachodzie, gdzie element niemiecki jest w oczywistej większości. I uzyskuje to dzięki poparciu Moskwy”.

W dalszym ciągu autor cytuje ostatnią mowę Churchilla w Izbie Gmin.

„Churchill stwierdził, że jest przekonany o trwałości pokoju dzięki powstaniu zwierzchniego autorytetu, który zapewni poszanowanie sprawiedliwości. Ale ubolewa nad tym, że w chwili obecnej ta sprawiedliwość nie jest jeszcze wszędzie respektowana. Cytował wypadki kłótni i ucisku. Zalecał swoim następcom, aby „podobne tragiczne wypadki nie powtórzyły się za żelazną kurtyną, która dzieli obecną Europę na

dwie części”. Życzenie Churchilla jest życzeniem powszechnym; ale właściwie sam Churchill kiedy był jeszcze premierem mógł się przychylić do tego, aby ta kurtyna nie była tak szelazna”.

Wiadomości z poza żelaznej kurtyny

Znane naszym czytelnikom polityczne nastawienie prasy francuskiej powodowało, że trudno nam było dotychczas kiedykolwiek zacytować jakiś głos bardziej obiektywny. Tygodnik francuski wychodzący w Rzymie „La Presse” zdobył się na raz pierwszy na uchylenie rąbka zasłony pokrywającej Bałkany od czasu wejścia tam wojsk sowieckich. W numerze 37 tego pisma z 16 b. m. znajdujemy obszerny raport pod charakterystycznym tytułem: „Budapeszt: ruiny, czarny rynek, czerwona armia”. Czytelnik zechce pamiętać przy ocenie wypowiedzi zamieszczonych poniżej, że zawsze dotychczas w ocenie prasy francuskiej wszystko co było rosyjskie było dobre i wszystko co było antyrosyjskie było złe.

Po dłuższym wstępie poświęconemu opisowi zniszczeń stolicy węgierskiej, z którego wynika, że Peszt prawie się uratował, natomiast stara historyczna część Buda uległa jednak doświadczeniom zniszczenia, autor przechodzi do opisu warunków życia w Budapeszcie.

„Co pewien czas można napotkać pochody. Mężczyźni i kobiety szli w szere-

gach przeważnie plechotą, niektórzy na rowerach niosąc czerwone sztandary, transparenty, sierpy i młoty zrobione z kartonu, ogromne drewniane lokomotywy. Publiczność patrzyła na nich obojętnie, bez oklasków ale i bez dezaprobaty. Niektóre grupy manifestantów śpiewały międzynarodówkę, ale tłum melodią nie podchwytujący”.

„Gdzie dawniej panowali Niemcy obecnie panują Rosjanie. Reakcja Węgrów polega na wywieszaniu sztandarów narodowych: zielono-biało-czerwonych”.

„Nikt nie może wjechać do Węgier. Armia rosyjska zajmuje cały kraj i strzeże dróg dostępu. Na drodze z Wiednia do Budapesztu jest przynajmniej sześć punktów kontrolnych. Szczególnie surowa kontrola jest na lotnisku dokąd przylatują angielskie samoloty z Włoch”.

„Gazety węgierskie są poddane cenzurze rosyjskiej. Sprawozdanie z Poznania zostało przez nie ogłoszone w ten sposób, że czytelnicy nie mogli się zorientować, jakie ostateczne były decyzje co do ich kraju”.

Autor przyznaje, że Węgry są całkowicie odcięte od świata zewnętrznego. Jakkolwiek uważa, że określenie żelazna kurtyna jest przesadzone, to jednak stwierdza, że jest się dość daleko od swobodnej informacji”.

A oto groteskowo-tragiczny obrazek z ulicy budapesztańskiej:

„Wkrótce po moim przyjeździe jadłem kolację w towarzystwie Amerykan i Węgrów. W ogrodzie cisiedli willi zajmowanej przez G.P.U. nadawano przez głosnik koncert skrzypcowy Bethovena. Po

drugiej stronie w siedzibie partii socjalistycznej odbywał się wieczorek taneczny. Żołnierze angielscy i amerykańscy spacerowali po ulicy. Kilka krótko- i krócej eleganckie limuzyny stały przed kafełkami Park-Clubu; jeszcze kilka krótko- i krócej dalej słychać było beładną strzelaninę na ulicy, zaczepiano dziewczęta, dzwono zegarki z rąk”.

„Jednoględnie radzono mi, abym nie wychodził z domu po godzinie dziewiętej”.

„Węgry pierwsi zaczynają mówić. Rosjanom nie czekając na inicjatywę rozmówcy. Jest to temat, który ich przysądza. Według nich Rosjanie są przyczyną wszystkiego złego, tak, jak przedtem przyczyną wszystkiego złego byli Niemcy. Jeżeli rozmówca wasz jest poglądom lewicowych, to ujmując swoją pogląd następująco: „proszę mnie dobrze zrozumieć, nie krytykujemy ani dowodów rosyjskiego ani sowieckiego reżimu, jedynie armie czerwona”.

„Każde rosyjsko w czasie wojny... „Nie, pan jest cudzoziemcem. Pan nie może tego zrozumieć”.

„Reżim sowiecki przyniósł wiele bez względu, dużo nadużyć. Rosjanie uprowadzili do niewoli na wschodzie ogromną liczbę żołnierzy węgierskich i osób cywilnych. Popularność komunizmu z tego powodu bardzo ucierpiała. Rosjanie wiedzą o tym także. Po mimo uprzywilejowanej sytuacji jak im zapewnia obecność armii czerwonej, stali się bardzo ostrożni”.

„Demokracja” bez prasy w Polsce

Pod powyższym tytułem „Gazeta Polska” dziennik informacyjny Polaków na Bliskim Wschodzie, tak ocenia obecną rolę wojski Mikołajczyka w Polsce:

„Zapewno już teraz zaczyna żałować Mikołajczyk, iż nie pozostał w Londynie, zamiast jechać do Warszawy budować „demokrację” w Polsce do spółki z bierutowo-gomółkowymi komunistami. Rozumiemy dobrze rozgorączczenie jego politycznych przyjaciół, kiedy nie mogą w sowieckiej demokracji nawet tego wypisać, co wolno im było czynić bezkarnie w Londynie na łamach pisma „Jutro Polski”.

„Stronnicu Ludowemu” Mikołajczyk w Polsce zabronił komunikacji z prostą wydawcą codzienny organu stronnictwa, choć o pozwoleniu zwracał się Mikołajczyk i w Warszawie i w Poznaniu. Znaczy to, że zdaniem przełożonych Mikołajczyka, Polski nie ma ani w Warszawie, ani nawet bardziej na zachód w Poznaniu.



Banknot z pierwszego zlotu

krątkowany jest na równi, z innymi zagadnieniami emigracyjnymi.

Nie dziwnym się też, gdy w odpowiedzi na pytanie, czy jest jakieś zestawienie Polaków w Niemczech, jakieś sprawozdanie, z którego mogliśmy skorzystać, otrzymujemy negatywną odpowiedź i melancholijny uwagę: „Panowie widzą, w jakich praktycznych warunkach. Wychodzimy w nastroju przygnębienia, którego nie rozwiewają oddawane nam wspaniałe honory przez rządy świętej żandarmierii i wawotników amerykańskich w białych rękawiczkach i w białych jedwabnych chustkach na szyi.

Nie mamy wariety, by nad sprawą Polaków w Niemczech ktokolwiek w pełni pannał. By rządzą nami z góry jakiś jednolity myśli poma chęcią pozbicia się tego kłopotu. Lecz pozbij się kłopotu to znaczy pójść po lądni najmniejszego oporu. Gdy powstało zagadnienie ewakuacji Polaków z Rosji pewne czynniki polskie skupione przy ówczesnej ambasadzie w Moskwie były przeciwne wyjazdowi rodzin wojskowych z Z.S.R.R., by nie sprawić kłopotów sobie i innym. Gdyby nie decyzja generała Andersa ludzie ci, kobiety i dzieci, pozostali by w Rosji i prawdopodobnie już nikomu na ziemi nie sprawialiby kłopotu. Bez kłopotów nie ma życia. Polacy w Niemczech stanowią kłopot. Duży kłopot. Ale kłopot przez nich nie zawiniony. Nie wyjechał przecież dobrowolnie z kraju, ale ich wywieziono lub zabrano. Nie oni są też twórcami obecných stosunków w Polsce, które nikomu — nawet szwedzkiemu marynarzom w Gdyni i w Gdańsku — bezpieczenstwa nie zapewniają.

Gen. Eisenhower wydał swego czasu słynne zarządzenie, że nikt z wygnañców w Niemczech z Polski i krajów bałtyckich nie będzie zmuszany do wyjazdu pod sowiecką okupację. Zarządzenie to jest respektowane. Istotnie nikt formalnie nie jest i — jesteśmy pewni — nie będzie zmuszany do wyjazdu wbrew swej woli. Natomiast wytworzyły się warunki, że wybór powrotu wielu już wygnañców uważa za „umniejsze zło”.

O powrocie mówi się dużo i często. Ludzko się z tym oswajają. Co więcej wyobrażają sobie ten powrót nadmiernie pro-

WYROK W PADEBORN

(Dokończenie ze str. 1.)

stolinijnie i łatwo. Wydaje się im, że jest on możliwy w każdej chwili, ci, ba, że ktoś z Kraju nie rozwieje ich złudzeń opowiadaniem, jak ten powrót nie do domu, ale na gołą ziemię nad Odrą wygląda.

Tymczasem już wiadomo, że tak zw. akcja repatriacyjna będzie możliwa w tym roku jedynie przez miesiąc, do 1 listopada. Obliczono, że dziennie będzie mogło wjechać maksymalnie do 15.000 ludzi. Władze sowieckie obniżyły już ten kontyngent do 6.000 ludzi, a jednocześnie propagandowi sowieckie podniosły wielki alarm. Że to „faszyści i reakcjoniści” polscy, chcąc się pozbij Polaków „wyrzucają” ich teraz na gwiał na wschód w zamiarze zwalenia ciężaru utrzymania tych ludzi na barki „rządu” polskiego w Warszawie, który ma inne lisyściane kłopoty. Istnieje więc nowo hasło, by wygnañcy „trwali” na miejscu aż do chwili, gdy zaborzą ich odpowiednie „komisje” z Warszawy czy z Moskwy.

Można więc przyjąć, że Polacy w wielkiej swej masie pozostaną w Niemczech przez zimę i że żadna rzekoma repatriacja na pewno nie będzie w praktyce możliwa do wiosny. A zatem stan obecny, który wielu uważało za tymczasowy i odpowiednio nastrojało przymusowych emigrantów przedtęży się o pół roku. A co będzie na wiosnę?

Zasadniczą przyczyną obecnej niedobrej atmosfery, która wytworzyła się wśród Polaków w Niemczech, jest właśnie ów nowy stan tymczasowości, który tam wytworzono. Wyraził się on przede wszystkim w braku względnie zanedbywanym działalności kulturalnej wśród tej ludności. Już od chwili powstania tego zagadnienia zwracaliśmy uwagę na fatalne następstwa, które może pociągnąć niedocenianie przez czynniki okupacyjne opieki o polską kulturę i kulturowe trudności. Ilość polskich oficerów i funkcjonariuszy była i jest zbyt mała. Zorganizowanie opieki duszpasterskiej napotykało również na trudności.

Prasa wolna i naprawdę polska nie była do obczów dopuszczana. Zamiast niej zaczęto wydawać oficjalne i „beztrosne” pisma w języku polskim o charakterze informacyjnym, lecz informujące pod pewnym kątem widzenia i na podstawie agencji również sowieckich. Pisma te nie zdobyły sobie zaufania natomiast przyczyniły się do wytworzenia owych złudnych nastrojów wśród Polaków, bąsamuonych wciąż szybkim wyjazdem.

Doświadczona też wojny wykazały, jak zbawenną rolę wśród Polaków na wygnaniu może odegrać prasa, o ile jest istotnie polska, istotnie wolna i niezależna, wyrażająca możliwie otwarcie pragnienia swych czytelników. Nawet krytycznej prasy — który nieraz wzbudzał niepotrzebne obawy czynników cenzurskich o stan moralny czytelnika polskiego, a zwłaszcza z Inierza — nie tylko nie wywoływał szkód, ale był narzędziem higieny psychicznej, pewną kląpą bezpieczeństwa w czasach dla Polaków wyjątkowo trudnych. W Niemczech władze okupacyjne — nie znając właściwości narodu polskiego — poszły inną drogą i osiągnęły wyniki odwrotne od oczekiwanych. Pisaliśmy to tym śmiejąc, że czynik ten przewidywaliśmy. W dniu 17 czerwca 1945 r. w artykule „Sprawa najpilniejsza” pisaliśmy w „Orle Białym”:

„Zaspokojenie elementarnych potrzeb kulturalnych tych ludzi (Polaków w Niemczech) jest równie ważne, jak zaspokojenie ich potrzeb materialnych, które zresztą są poważne. Zapewnienie tym rzeszom, wyrwanych ze swej ziemi, odpowiedniej atmosfery moralnej, będzie przecież najlepszą osłoną przed zejściem ich na tory, które mogłyby być niepożądanymi”.

Niestety, na te tory zesłaliśmy. Świadczy o tym proces w Padeborn. Jaka na to rada? Stwierdzaliśmy wówczas, że kłopotów z Polakami w Niemczech nie zlagodzi się trzymaniem tych „wywołanych” ludzi „w odcięciu od świata, od polskich księżek, pism i szkół”. Dziś powtarzamy to samo,

bogatsi tylko w doświadczenia. W smutnym doświadczenia.

Proces w Padeborn został natychmiast wykorzystany przez czynniki okupujące dla Polaków do gwałtownych manifestacji anty brytyjskich. Przed ambasadą brytyjską w Warszawie odbyły się zorganizowane manifestacje. Prasa kierowana przez NKWD wystąpiła z namietnymi artykułami. Reakcja ta odsonja oczywiste i logiczne następstwa uchwał teherańskich i jańskich, przed czym również swego czasu przestrzegaliśmy. Opinia polska jest już mobilizowana i prasa agentów sowieckich i przez propagandę sowiecką przeciwko Zachodowi, a w szczególności przeciwko W. Brytanii. Proces w Padeborn dostarcza organizatorom tej intrzygi dawno oczekiwaną, sensacyjnej okazji. Ale dlatego winien być i z tego punktu widzenia rozpatrzone i ocenione przez brytyjskie czynniki tego powołane. Proces ten winien ulec więc rewizji nie tylko z punktu widzenia moralnego, ale i politycznego.

Pełne rozwiązanie zagadnienia Polaków w Niemczech przekracza dziś oczywiście polskie możliwości. Ale winno ono istotnie zainteresowane żywo te wszystkie narody zjednoczone, które są naprawdę wierne zasadom chrześcijańskim, idei demokratycznej oraz poszanowaniu godności człowieka. Warunkiem szczęśliwego zablizenia ran i wrzódów powstałych wskutek istnienia bezczynnej, dezorientowanej i zanedbywanej masy Polaków w Niemczech jest zaprzestanie traktowania tego zagadnienia jako tymczasowego, przejściowego i o typie raczej transportowym, lecz odniesienie się do niego jako do poważnej sprawy politycznej, jako do jednego z smutnych wyznaczników powojennego położenia całej Europy.

Czy kto chce, czy nie chce znacznie więcej Polaków w Niemczech pozostaną na Zachodzie przez czas dłuższy. Prawdę tę muszą sobie uświadomić zarówno wygnañcy nasi w Rzeczy, jak i polskie czynniki opiekuńcze oraz władze okupacyjne. A uznawszy to muszą przystąpić do pracy młodszej, a bardziej planowej, stałej i zrywającej z metodą życia z dnia na dzień